

# Na wzgórzu róż



STEFAN GRABIŃSKI

# Na wzgórzu róż

## Po stycznej

Wrzecki wyszedł z domu o trzeciej po południu.

Przedsięwziął dłuższą przechadzkę po mieście, by wśród bezcelowego bląkania się po ulicach, przekradania pomiędzy domami zagłuszyć katującą go od miesiąca zmoremyśli, przeciąć pasmo sylogizmów<sup>1</sup>, uparcie rozciągających na torturach biedny mózg neurastenika<sup>2</sup>.

Był rozstrojony do niemożliwości i wrażliwy na najdrobniejsze szczegóły życia wewnętrznego. Przed półrokiem przebył ciężką chorobę umysłową, która rzuciła na gangliony<sup>3</sup> niezatarte ślady swego przebiegu, jak odpływ pozostawia na nadbrzeżnych ławicach wywleczone morszczyzny. Rozgałęziły mu się warstwą przybylczą, zrazu obcą, pasożytną, by po jakimś czasie włączyć się jako organiczne ogniwo i wytworzyć nowe skojarzenia i związki.

Dawniej trochę bezładny w myśleniu, zaczął teraz rozumować z bezprzykładną logicznością aż do męczarni, kształtować całe szeregi najnieprawdopodobniejszych teorii i teoryjek i poddawać się ich sugestywnej pseudooczywistości.

Wytworzył się tu pewien rodzaj wyobrażeń musowych, imperatywnych, którym nie ulec było dłań niemożliwością.

Bez wątpienia przyczyniły się do tego w znacznej mierze zarodki czegoś podobnego już z lat dzieciństwa. Podłoże ich było wtedy religijno-mistyczne. Niespełnienie np. jakiejś błahej czynności, niewykonanie jakiegoś gestu itp. groziło mu ściągnięciem na się kary bożej, potępienia i przeróżnych nieszczęść. Samodrzęczytelstwo to wprawiało go czasami w rozpacz bez granic, gdyż skutą przesadną obawą umysł dziecka nie znachodził nigdzie wyjścia z katowni. W miarę rozwoju inteligencji obłąd mijał. Po przesileniu się nieszczęsnej choroby mózgu powrócił, chociaż w zmienionych znacznie kształtach.

Począł snuć z lodową logiką dzięki poglądy, układać szaleńcze teorematy<sup>4</sup> i wypatrywać, czy przypadkiem nie znachodzą sprawdzianu w życiu go otaczającym. Najślabszy choćby cień czegoś w tym rodzaju nabierał w rozwydrzonej wyobraźni rysów pełnych, nasyconych i zniewalał go do poddawania się wnioskom stąd zajadle logicznym.

Doznawał dziwnej rozkoszy, ilekroć zdawało mu się, że jego „systematy” zdradzają jaką taką rację bytu.

Niemniej jednak zaznaczyć należy szczegół charakterystyczny, który poniekąd usprawiedliwiał go w niektórych wypadkach: istotnie zdarzały się nieraz okoliczności tego rodzaju, że dostarczały mu tworzywa dowodowego; życie jakby siliło się umotywwać bieg myślowy szczególnego osobnika. Lecz tu zaczyna się rozwiewna rubież słońca i nocy, jasności i mroków, grunt niepewny, torfiasty, wiecznie dymiący oparami, odurzający czadem. — Czy Wrzecki był obłąkańcem? Czy Wrzecki miał słuszność? — Może i jedno, i drugie. Dylemat bez wyjścia.

Szaleństwo

<sup>1</sup>sylogizm — rozumowanie przeprowadzone zgodnie z zasadami logiki. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>neurastenik — osoba znerwicowana, o nadmiernie pobudzonym układzie nerwowym. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>ganglion (z łac.) — zwój nerwowy. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>teoremat — twierdzenie wyprowadzone z innych twierdzeń danego systemu naukowego. [przypis edytorski]

W gleczerach<sup>5</sup> bytu nieci słońce skrwawe ognie,  
Iglice szczytów dyszą krwią...  
Gleczer bytu kwefy mgieł stuliły,  
Na cyplach ćmi się noc...  
Czy prawdą mgły, czy krew?  
I z słońca mgły się rodzą...

---

Wrzecki już od godziny przecinał przecznice, krążył po najludniejszych placach, chodnikach, wystawał przed sklepami, czepiając się szklanym wzrokiem krzykliwych barw i kształtów...

Dzień był jesienny, przeniknięty szreżogą<sup>6</sup> dymów, wilgocią dżdżu. Z rozchwiei mgieł wysnuwały się jakieś twarze widmowe, maski zagadek, zacięte usta symbolów. Zdawało mu się, że każda z nich patrzy weń ze szczególnym wyrazem, jakby porozumiewawczo, z sennie-nudnym grymasem, poza którym kryła się świadomość prawdy wspólnej, tak dobrze obojgu im znanej, że się nawet nie ma co silić na jej podkreślanie.

Znużyły go twarze: przeszedł na odludną ulicę.

Była wypełniona po brzegi mlecznymi złożami oparów. Szedł ostrożnie, by nie natknąć na latarnię. Po pewnym czasie uczył na plecach czyjąś rękę:

— Serwus, Władek!

— A! to ty!...Nie poznałem — ale bo mgła zakuta!

Wrzecki serdecznie ścisnął podaną mu dłoń.

— Dokąd?

— Do prosektorium.

— A! do trupiarenki, operacyjka? Krajanie nieboszczyka? Co?

— Coś w tym rodzaju.

— Co to za cenny szpargał w kieszeni?

— Rzecz dość ciekawa: *O samozatruciu u węzów*. Problem zajmujący. Kto wie — może i tam bywają tragedie?...

— Hm! Rzeczywiście. Ale ty się widocznie śpieszysz. Do miłego zatem!

Pożegnali się. — Wrzecki już miał skręcić w prawo, gdy wtem dogonił go kolega medyk.

— Ale, ale. Korzystaj ze sposobności, dopóki cię znów nie napadnie mania ślęczenia tygodniami w domu. *Mon cher*<sup>7</sup>, radzę ci przejść się po wystawie. Oto akcja<sup>8</sup>. Pyszne rzeczy, na honor! Parę niezrównanych szkiców i pejzaży i nasz stary w gronie asystentów: wściekła gęba! Wszyscyśmy pochwyteni jak złodzieje na gorącym uczynku. Setny chłop! No, serwus!

Wsunąwszy mu w rękę akcję, szybko oddalił się.

Wrzecki machinalnie zawrócił w stronę wystawy. Po jakimś czasie wynurzyło się pytanie:

Co też mu zależało na tym, bym oglądnął obrazy? Także!...

W chwilę później zastanowiła go własna ciekawość co do owych papierów, wyzieraających z paltota młodego eskulapa<sup>9</sup>.

A przecież, gdybym się nie był zapytał, nie dowiedziałbym się tytułu rozprawki. Cóż mnie to znowu tak zajęło?

Obok mignęło w przechodzie jak przez sen dwóch mężczyzn o czymś żywo rozprawiających. Doleciał go urywek dialogu.

— Ależ na miłość boską, niewiadomy panu powód szalonego?

— Owszem, mówią, że pojedynek amerykański<sup>10</sup>! Wyciągnął podobno czarną...

Pojedynek

---

<sup>5</sup>gleczer (z fr.) — lodowiec. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>szreżoga (daw.) — lekka mgielka w upalny dzień. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>Mon cher (fr.) — mój drogi. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>akcja — tu: bilet wstępu. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>eskulap (zart.) — lekarz (od zlatynizowanej formy imienia gr. Asklepiosa, boga lekarzy). [przypis edytorski]

<sup>10</sup>pojedynek amerykański — pojedynek polegający na losowaniu ofiary, która następnie ma popełnić honorowe samobójstwo. [przypis edytorski]

Resztę zgłuszył turkot przejeżdżającego wozu, wchłonęła mgła.

Przecież to skończony idiotyzm zdawać się na takie rozstrzygnięcie sprawy — pomyślał.

Uczuł się bardzo znużonym: nerwowy ból głowy dokuczał mu nieznośnie. Usiadł na ławce pobliskiego skweru, wyjął papierosa i zapalił. Miejsce było zaciszne, wokoło przekwitających krzaków róż jesiennych. Drobne, herbaciane płatki, spadłszy z pąkowiec, zatrzymały się tu i ówdzie na gałązkach lub rozsypały na trawniku w bezładny ornament. Na prętach dumały łzawo krople mgły; zarysowywał się wąski, przejrzysty pasek, opijał wodą, pęczniał, wahał się, by wreszcie stoczyć się wyraźnym kształtem kuli. Coś podchodziło kryjonym ruchem do świadomości, wkradało się coraz dokładniej, natarczywiej... skryształizowało się.

Zastanówmy się. Czyś nie zauważył momentu wspólnego między spotkaniem z Brzegotą a fragmentem posłyszanej rozmowy? Aha! Jesteśmy na tropie. Samozatrucie u węzłów i następstwa wyciągnięcia czarnej gałki. Wybornie! Zachwycająco! Punkty zdradzają stylizację; możemy je połączyć.

Wrzecki był w wysmienitym humorze: zwietrzył materiał dowodowy dla jednej ze swych „teorii”. Specjalny zapal do matematyki nie pozostał i tu bez wpływu na sposób jej ukształtowania.

Wychodząc ze systemu planetarnego, przedstawił sobie graficznie bieg życia rozmaitych jednostek i zdarzeń jako wydłużone elipsy, po których dany osobnik krążył na sposób punktu matematycznego. Linie te stanowiły dla siebie zwarte całości, ze swoistą organizacją, ideą, planem, wyłączną konstrukcją. Elipsy te jak stosunki ludzkie musiały się oczywiście wzajemnie krzyżować, przecinać w najprzeróżniejszych kombinacjach, oddziaływując na się odpowiednio do zgrupowania jednoplanowego<sup>11</sup>; wszystkie bowiem musiały rozpościerać swe skręty li tylko w jednej płaszczyźnie. Elipsy o kierunkach wchrowatych jako wyobrażenia zdarzeń i życiowego biegu jednostek, zupełnie się wzajemnie stykających, nie znajdowały punktów przecięcia. Wśród tej zawilej sieci spostrzegł jednak Wrzecki, że krzywizny mogą się tak ustawić punktami największego rozmachu, że da się przez nie przeprowadzić linia prosta. Będzie nią styczna do elips łącząca ich kończyny poza obrębem pól. Linia chwilowych pozycji, które w najbliższym momencie mają się zmienić na inne, konsekwentne z poprzednimi, pogonić dalej w obranym kierunku własnego ustroju, a przecież w tej jednej chwili służą za punkty oparcia nieublaganej prostej! Linia zupełnie przypadkowych zdarzeń, śmiesznie bezcelowych zestawień, dziwacznych do bezsensu zbiegów okoliczności.

A jednak Wrzeckiemu przedstawiała się sprawa nieco inaczej: nauczył się dostrzegać pewną stylizację w doborze punktów największych wychyleń. Widział coś więcej poza przypadkowością zszeregowań. Wedle niego można tu było wysledzić specjalny związek, mający na celu coś wskazać, coś odkryć, spełnić jakąś przeznaczeniową rolę wobec tego, czyją uwagę uderzyła wyjątkowa linia. Dotąd Wrzecki pozostawał ciągle w sferze teorii: rozumował. Nie natknął jeszcze na swą styczną w rzeczywistości, chociaż wierzył w możliwość jej realnego istnienia. Życie jego wirowało ciągle jeszcze jak u innych po normalnej elipsie, ulegało cierpliwie dośrodkowym siłom przeciętnych zdarzeń, nie wzbudzającej podejrzeń wynikliwości wypadków, psychologicznych lub mechanicznych następstw. Niemniej był gotów w każdej chwili, za najmniejszym potrąceniem z zewnątrz, wypaść z toru i podążyć z fatalną szybkością po zabląkanej koleinie; przeczuwał, że wtedy odśrodkowe działanie weźmie nad nim stanowczo górę i popchnie go, jak koło wysłizłe z pasów transmisji, w zawrotne dale. Powłóklby go tam urok niezwykłości i pochlebne sprawdzenie teorii — a może... przeznaczenie. Wrzecki był czcicielem rzeczy tajemnych...

Gdzie mogła zaprowadzić przypuszczalna droga, nie wiedział. Zależałoby to od rodzaju jej punktów wytycznych. W tej chwili miał wrażenie, że poczyna zbaczać; wywnioskował to z dwóch poprzednich zajęć u wstępu do przechadzki. Ciemna siła wytrącała go powoli z przypisanego obiegu i pchała prosto przed siebie. Dokąd — jeszcze nie przeczuwał. Koniec stycznej ginął w nieprzejranych obszarach perspektywy. A może się tylko przedwcześnie ludził? Może skrzywienia tak przecież zbliżone do prostej. — Postanowił być cierpliwym i czekać.

<sup>11</sup>jednoplanowy — tu z łac.: umieszczony na jednej płaszczyźnie. [przypis edytorski]



Powstał z ławki i ruszył ku gmachowi sztuk pięknych. Po drodze uzupełniał ostatnie wywody.

Sprecyzujmy fakta. Obok ideowej ich łączności występują teraz dość wyraźnie okoliczności uboczne. Biegnie tu właściwie podwójna linia więźby. Po co namawiał mnie Brzegota do zwiedzenia wystawy? Widocznie na to, by mnie skierować na ulicę, gdzie miałem spotkać tych dwu nieznanym. Gdybym był poszedł swoją drogą, uniknąłbym spotkania. Oczywiście! Ależ mogłeś dojść do galerii przez plac Zgody! Nie! W takim razie musiałbym się cofnąć bez potrzeby i dużo drogi nałożyć. Nie! Stanowczo należało skręcić w tę stronę. To jasne; stamtąd ta droga była jedyną. A więc Brzegota wprost popchnął mnie w objęcia tych panów. Kropka! Związek wykazowy. Zatem dobrze. Lecz jak u licha mnie to wszystko dotyczy? Do czego zmierza? — Spokojnie, tylko spokojnie! Rzecz się wyjaśni.

Przypieszył kroku. — Zdenerwowanie i naprężona niepewność ujęły go w zwarte kluby. Jakiś ochryply głos przerwał tok dalszego rozumowania: po chodniku zataczał się pijany wyrobnik. Wrzecki chciał go wyminąć, lecz w tym momencie ujrzał przed sobą obrzękłą twarz i mdły obrzask alkoholu uderzył go w nozdrza. Człowiek wytrzeszczył nań krwią zasze białka i jakiś czas wpatrywał się z bezmyślną zadumą opoja. Nagle oczy jego przybrały wyraz piekielnego przerażenia; odsunął się gwałtownie i zaczął bełkotać na pół otrzęzwiony:

— Walek! Chryste Boże! A ty tu co robisz? Ludzi po dniu straszysz? Szczezaj, maro!

— Tylko bez głupstw! Proszę mi zejść z oczu, bo wezwę stojkę<sup>12</sup>! No! Słyszał!

Na dźwięk ludzkiego głosu pijak oprzytomniał zupełnie.

— No, niech się pan ta nie gniewa. Nie ma czego. Sumiennie mówię, nie ma czego. Przywidziało mi się. Zwyczajnie przy niedzieli człek troszkę schłany. Ale bo też panisko podobniusięńki, jak dwie krople wody, do Walka. Jeno że z pańska ubrany, no i kapkę gładszy. A to chłopisko całe życie łąziło w łachmanach. Dalibóg! Tak samusięńko wyglądał z pyska, jak go oderznięli z haka. Widzi pan — powiesiła się bestia z głodu.

Wrzeckiemu zrobiło się nieswojo. Chciał już zboczyć w sąsiedni pasaż, lecz zarobnik, zmierzający snadz<sup>13</sup> w tymże kierunku, począł go prosić z uporem pijaka:

— Niechże pan z łaski swojej nie idzie za mną w te pędy. Tak mi głupio jakoś, jakbym śmierć miał na karku. Lepiej już rozejdźmy się. O! tędy wolna droga... — i przepuścił go mimo w wąski zaułek, o parę kroków dalej. By się pozbyć natręta, ustąpił. Robotnik zanurzył się w podsienia przechodniej bramy.

— Popędził po swojej elipsie — mruknął odruchowo Wrzecki. — Podążył wyznaczonym sobie ściegiem. Dla niego to tylko nic nie znaczący epizod. Nawet nie domyśla się swej roli w ubiegłej sekundzie.

Otarł czoło; było złane zimnym potem. Obudził się instynkt samozachowawczy.

Sprawa zaczyna być zanadto wyraźną, znaki rzucają się na spotkanie ze zbyt szczerym wylaniem<sup>14</sup>.

Na mgnienie oka zabłysnął mu w oślepiającej jasności koniec opętającej linii. Lecz starał się zgasić wizję wywodem:

Ależ to mnie nie dotyczy! I cóż stąd, że się temu pijanemu łązędze przewidział we mnie jakiś tam wisielec? To stanowczo mnie nic nie obchodzi, zawsze miałem wstręt do podobnej śmierci.

Wkrótce jednak uznał niedostateczność racji i przeciągnął linię po punkt trzeci. Był niemal zrezygnowany i dawał się powoli zasugestionowywać nowo odkrytej drodze. Wśród tego nie uszło jego czujnej uwagi, że właściwie nie może już zwiedzić wystawy, bo zboczył, poddając się uporowi pijaka. Umocnił się tedy w przekonaniu, że w samej rzeczy nie chodziło bynajmniej o to, by podziwiał imponującą grupę młodych lekarzy z obrazu, lecz by umożliwić mu dwa najbliższe spotkania; gdy te przyszły do skutku, potrącono go znowu w innym kierunku. — Przeźrocze szale motały się na przyczołach kamienic, wieszaly w wykrojach nieba między dachami.

Przez wątlą ich tkaninę wnikały w parowy ulic lśnienia słońca nieśmiało, zmatowane.

<sup>12</sup>stójka (daw.) — policjant. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>snadz (daw.) — widocznie. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>ze zbyt szczerym wylaniem — zbyt wylewnie; sens: zbyt wyraźnie, zbyt demonstracyjnie. [przypis edytorski]

To szczególnie! Właśnie teraz, gdy i sprawa zaczyna nabierać plastyki konturów. Czyżby i to pozostawało w związku?

Dostał nerwowej drgawki koło powiek. Nogi poczęły wykonywać niezależne już od woli powiewne ruchy; przed oczyma ćmiły się wiotkie szare płyty. Z trudem dowłókł się do odkrytej werandy jakiejś kawiarni i ciężko obsunął się na kozetkę. Podano mu dzienniki i czarną kawę. Wychylił szklanek łączywie i wglębił się we wstępny artykuł „Figara”. Coś mu przeszkadzało, nie mógł czytać swobodnie. Parę razy już odwrócił głowę i kręcił się niespokojnie na miejscu, daremnie usiłując otrząsnąć się. Wyczuwał nerwami czyjs wzrok na sobie. Wreszcie otwarcie zwrócił oczy w stronę, skąd go niepokojono. Dopiero teraz spostrzegł za stolikiem na prawo starszego już mężczyznę w żółtawym haweloku<sup>15</sup>, z szyją owiniętą szczelnie almawiwą<sup>16</sup>, który znać już od dłuższego czasu przypatrywał mu się z obrażającą ciekawością. Fizjognomia<sup>17</sup> nieznajomego łączyła w dziwnej zgodzie sympatyczność z oryginalnością. Pomarszczona, wyżółkła jak pergamin twarz, z szerokimi ustami, bez śladu zarostu, była stale nieruchoma jak maska starożytnego aktora: skóra na skroniach jakby przyschła do kości, które pod światło połyskiwały trupio-matowym lśnieniem. Wyglądał na uczonego podczas obserwacji dokonywanej na ciekawym okazie. Spod krzaczastych brwi wzywały oczy specjalnej, zielonawożłotej barwy; tysiące fosforyzujących igiełek drgało tam szybkozmiennym ruchem jak w iskierniku baterii, nadając źrenicy wyrazu świetlanej przenikliwości; oczy te wżerały się literalnie w ciało i przepatrywały je na wskroś do najdrobniejszego włókienka.

Wrzecki zauważył, że nieznajomy nie patrzy mu w oczy, lecz studiuje raczej jego głowę na poziomie czoła. Już chciał podnieść się i zażądać wytłumaczenia od natręta, gdy ten wyprzedził go i wstawszy od stołu, począł krok za krokiem zbliżać się ku niemu, nie spuszczać oka z obranego punktu na czaszce. Wreszcie zatrzymał się tuż przed Wrzeckim i odezwał:

— Winszuję, serdecznie winszuję! To było celnie, co się zowie! Pi, pi, pi! I gdzie trafione! W sam ośrodek wzroku — po przejściu przez wyrostek szyszkowy. Panie — to było arcydzieło w swoim rodzaju! No — przyznaj się pan — oślepeś na dobre! Ho, ho, ho! Co widzę? *Krupp et Compagnie*<sup>18</sup>! Średnica 9 mm, płaszcz stalowy prima sorta<sup>19</sup>. — No, no, winszuję — w centrum wzroku, ni na milimetr w bok...

Wrzecki nie rozumiał. Był tylko silnie podrażniony dziwaczną przygodą — tym bardziej że zwróciła uwagę gości, których grupa otoczyła jego tabletkę<sup>20</sup>. Wreszcie wykrztusił dławionym przez wściekłość głosem:

— Garson<sup>21</sup>! Uwolnić mnie od tego wariata!

Lecz rozkaz okazał się zbytecznym. Nieznajomy, z palcem wyciągniętym ciągle ku jego czołu, począł cofać się powoli ku drzwiom, aż zginął w sąsiedniej sali. Widownia również rozprószyła się; tylko jakiś chudy, z angielską zakrojony gentleman nie ruszył się z miejsca, uśmiechnięty pod wąsem; robił wrażenie kogoś, który był niejednokrotnie świadkiem podobnych scen. Skłonił się lekko Wrzeckiemu i bez zapytania, zajmując obok krzesło, zagadnął:

— Jak widzę — nie sprawił panu szczególnej przyjemności występ wujcia Edzia?

— Czy mówi pan o tym wariacie?

— Właśnie. Nazywamy go wujciem Edziem; postać w naszej kawiarni powszechnie znana. Zachodzi tu w każdą niedzielę i święta. Fenomenalne połączenie sensytywa<sup>22</sup> i szaleńca.

— Sensytywa?

— No tak. Musiał pan chyba słyszeć o tych wyjątkowych zdolnościach u pewnych anomalii; przed takim osobnikiem leży siatka nerwów, mięśni, system kostny, słowem, cały organizm ludzki jak mapa dróg kolejowych: przenika człowieka na wylot. Wujcio

<sup>15</sup>hawelok (z ang.) — rodzaj płaszcza męskiego. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>almawiwa (z hiszp.) — rodzaj szala a. peleryny. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>fizjognomia (daw.) — twarz. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>*Krupp et Compagnie* (fr.) — Krupp i Spółka (firma produkująca działa). [przypis edytorski]

<sup>19</sup>prima sorta — najlepszego gatunku. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>tabletko (z fr.) — stolik. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>garson (z fr.) — kelner. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>sensytyw (z łac.) — osoba nadwrażliwa. [przypis edytorski]

Edzio, niegdyś wcale tegi lekarz, dorobił się, dzięki swej specjalnej zdolności, kolosalnej fortuny. Używano go do introspekcji przy operacjach; oddawał olbrzymie usługi. Potem nagle zwariował. Odtąd dostrzega w swych pacjentach niemożliwe rzeczy. Tak np. u mnie skonstatował w komorze sercowej ni mniej, ni więcej, tylko istnienie mikromilimetrycznej żabki. Dobry sobie, co? U pana znowu dopatrył się w zwojach mózgowych...

— Czego?... — Wrzecki drżał z niecierpliwości.

— Jak to? Na serio nie rozumiał pan nic z jego gadaniny? Prawda, że wujcio Edzio lubi tajemniczość i ubiera swą diagnozę we formy pytyjskie<sup>23</sup>: dlatego potrzebuje interpretacji. Otóż u pana znowu zauważył w korze mózgowej po mistrzowsku wpędzoną kulę...

— Kulę?

— Ależ naturalnie, *Krupp et Comp.* — przecież to pierwszorzędna firma amunicji. Co to panu? Pan pobladł? No, nie bądźże pan dzieckiem! Także coś! Przejmować się bredniami starego bzika!

— Ma pan słuszność... zapomniałem się. Dziękuję za wyjaśnienia. Garson! Dwa szampany! Pozwoli pan, że naleję?...

Wychylił parę szklanek. Wrzecki nadaremnie starał się upić. W końcu zapłacił, pożegnał się z uprzejmym anglomanem i wyszedł.

Wyjaśniło się prawie zupełnie. Wzdłuż gzymsów murów, między szczytami drzew, po kopułach snuły się taśmy mgieł, rozwiewając się w przestworzach błękitu. Poprzez rozcieńczone żgła wcedzało się zachodowe słońce coraz soczystszą, dostalszą zabarwą. Wprost fizycznie odczuwał bolesne, rażące jego dotknięcia i wsuwał się skwapliwie między najciemniejsze zaułki pod ochronę cienia. Wyłoniła się jakaś nieuchwytna łączność między stopniowym wygrazaniem się słońca z oprzędzy mgieł a coraz wyraźniej zarysowującymi się konturami u kresu szalonej stycznej. Tempo, w jakim obraz nabierał wyrazistości, wydało mu się stanowczo za szybkie; z ochotą by je zwolnił, gdyby to od niego zależało. Tak dotąd było dobrze błędzić między kotarami mglistych opon<sup>24</sup>, tak ponętnie przemykać się nad krawędziami drzemiących co krok przepaści... Lecz igraszka miała się ku końcowi: spoza zasłony poczęło przeglądać kuszone daimonium<sup>25</sup>, by ukarać niepokojącego je śmiałka. Na wargi cisnął się gwałtem jeden wyraz, jedna definicja, która by określiła dotychczasowy bieg faktów. Wyrwała się na usta, dobywała przemocą do świadomości — lecz usiłował ją zawrócić tam, gdzie wzięła początek. Nadaremnie! Słońce gonilo w ślad, prażyło oczy, twarz, głowę, miotało zabójcze razy w piersi. Stanął na rogu jakiejś ulicy niepewny, dokąd się zwrócić. Gdzieś z czeluści bramy błysnęła mu para roznamiętnionych twarzy.

— Rozstajna 30.

— Dobrze, przyjdę. Jakaś ty dobra, jakżeś bezmiernie dobra...

Machinalnie powłókł się pod wskazanym adresem. Raz jeszcze zrobił rozpaczliwy wysiłek samoobrony.

— Po co ja właśnie tam idę? Ha, ha! *Die verhängnisvolle Gasse*<sup>26</sup> — co?

Mimo to pędziło go w tamtą stronę. U zakrętu podniósł przypadkiem głowę; wzrok padł na wielki, błękitny afisz. Przebiegł punkt pierwszy programu:

„Signora Bellestrini, primadonna scen włoskich, odśpiewa jako przygrywkę: «Pepito, ach, tam wskażę ci, co czynić masz! Pepito, ach, ach, tam»” etc.

Dosyć. To wystarczy. Reszta niech służy do użytku publicznego.

W kwadrans później wstępował w klatkę schodową podanego numeru. Dom był trzypiętrowy: nasunęły się pewne wątpliwości co do piętra.

Nic nie będzie z tej głupiej farsy, jeśli nie będę miał dokładnej wskazówki! — postanowił twardo.

W tejże chwili dało się słyszeć skrzywienie stopni z dołu; ktoś biegł za nim po schodach i minął go.

— Może to przewodnik?

Tamten tymczasem wstępował już na drugie piętro.

<sup>23</sup>pytyjski — tajemniczy (od imienia Pytii, kapłanki w wyroczni Apollina w Delfach). [przypis edytorski]

<sup>24</sup>opona (daw.) — zasłona. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>daimonium (gr.) — demon a. głos wewnętrzny. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>*Die verhängnisvolle Gasse* (niem.) — fatalna ulica. [przypis edytorski]

Zatrzymał się na platformie. Wrzecki poszedł za nim.

Na korytarzu drugiego piętra zastał nieznanego, jak odczytywał na drzwiach czyjaś wizytówkę. W chwili gdy Wrzecki dosięgnął ostatniego stopnia, odwrócił się ku niemu i popatrzył mu prosto w oczy, po czym natychmiast zaczął się wspinać na trzecie schody.

— Dziękuję! — krzyknął niemal Wrzecki, który w spojrzeniu obcego dostrzegł szczególny, jakby porozumiewawczy wyraz.

Więc to tutaj... Przyznać jednak potrzeba, że pilnują mnie do ostatniej chwili. Co za usłużność — proszę!

Bez wahania otworzył drzwi, pod którymi parę chwil temu zastał „przewodnika”. W tejsze sekundzie rozległ się w głębi mieszkania suchy trzask. — Wszedł do środka: w blaskach zachodu wlewającego się strugami w pokój stał młody człowiek z lufą rewolweru skierowaną ku czołu; widocznie w chwili wejścia Wrzeckiego usiłował strzelić, lecz broń odmówiła posłuszeństwa. Spostrzegł wchodzącego, jak skamieniały, nie zmienił pozycji. — Wrzecki ze skrzyżowanymi rękami studiował go:

— Pyszny obraz! Co za dokładność w liniach, wykończenie w szczegółach i oświetlenie, przede wszystkim to oświetlenie... Ależ pan jest niezrównanym typem — pardon! — modelem samobójcy! Co mówię! — Z pana sobowtór prasamobójcy!...

Wyrwał mu gniewnie z ręki rewolwer.

— No, dość tego! To nie dla pana zabawka! Kochany pan się pomylił. Ale to nic nie szkodzi. Inaczej nie mógłbyś spełnić swej roli. Co? Powie mi pan o zawiedzionej miłości lub długu honorowym? Fraszki, młodzieńcze, fraszki! Miałeś być tylko obrazem, symbolem dla kogo innego! Rozumie kochany pan? Dlatego maszynka spudłowała. „Pepito, ach, Pepito, ach, tam wskażę ci, co czynić masz”.... Wesola aryjka, nieprawdaż?

Obejrzał magazyn.

— Aha! starczy jeszcze na jeden strzał. Świetnie! Wie pan — to będzie zabawne *qui pro quo*<sup>27</sup>...

Zmarszczył czoło:

— Ale, ale! Pan może mieć pewne nieprzyjemności — zawsze to w pańskim mieszkaniu... Wie pan co... powiesz im, że przyczyną była: stylizacja przypadku... a pan byłś jej ostatnim, szczytowym punktem... Tak, tak pan powie... I pomyśleć tu, że gdybyś się tak był zdecydował parę minut wcześniej, no, no! — Spojrzał na zegarek, równocześnie odwodząc kurek. — Szósta. A jednak ja sam, wychodząc dziś o trzeciej z domu, nie byłbym nigdy przypuścił, że za trzy godziny...

— Co??

— Ot, co!... — Błyskawicznym ruchem przyłożył sobie lufę do skroni i pocisnął. Tym razem broń nie zawiodła: runął martwy w słoneczny ekran posadzki.

## Zez

Przyplątał się do mnie, nie wiem jak i kiedy.

Nazywał się Brzechwa, Józef Brzechwa. Co za imię! Coś w nim zaczepia, zahacza, drażni nerwy chropawym dźwiękiem. Był zezowaty. Szczególnie przykro spoglądał prawym okiem, które wзираło skalistym spojrzeniem spod rudych rzęs. Mała, szpetna twarz, pokryta ceglastym rumieńcem, krzywiła się wiecznie w uśmiezkach złośliwej półironii, jakby mszcząc się w ten nędzny sposób za własną brzydotę i plugawość. Drobnie, rdzawe wąsiki, podkrecone zawadiacko do góry, ruszały się ustawicznie niby macadełka jadowitego żuka, ostre, kłujące, złe.

Ohydny człowiek.

Zwinny był, elastyczny jak piłka, postaci nikłej, wzrostu średniego, chodził krokiem lekkim, nieuchwytnym, umiał wślizgiwać się nagle jak kot.

Nie cierpiałem go od pierwszego wejrzenia. Jego odrażający wygląd przejmował mnie nieopisanym wstrętem, każąc domyślać się odpowiadającego mu charakteru.

Człowiek ten krańcowo różnił się ode mnie usposobieniem, upodobaniami, rodzajem reagowania na podniety. Dlatego stanowił dla mnie uosobienie antypatii, był moją żyjącą

<sup>27</sup> *qui pro quo* (łac.) — nieporozumienie, pomyłka co do osoby. [przypis edytorski]



antytezą, z którą by mnie nic na świecie pojednać nie mogło. Może właśnie dlatego przypił się<sup>28</sup> do mnie z wściekłą zapamiętałością, jakby odczuwając moją ku niemu żywiołową niechęć.

Prawdopodobnie doznawał szczególnej rozkoszy, widząc, jak bezskutecznie usiłuję wydobyć się z sieci, którymi mnie oplątywał coraz zwarciej. Był mym nieodstępnym towarzyszem w kawiarni, na przechadzkach, w klubie, umiał wkręcić się w koła mych najbliższych znajomych, co więcej, zdobyć przychyłność kobiet, z którymi mnie łączyły żywsze stosunki, wiedział o każdym mym najdrobniejszym projekcie, najlżejszym ruchu.

Niejednokrotnie, by choć dzień jeden nie widzieć jego obmierzłej fizjonomii<sup>29</sup>, wymyślałem się niespostrzeżenie dorożką lub automobilem za miasto, lub też słowem nie zdradziwszy przedtem zamiaru, wyjeżdżałem na jakiś czas do innej miejscowości. Któż opisze w tych wypadkach me zdumienie, gdy po jakimś czasie jak spod ziemi wyrastał nagle przede mną Brzechwa i z uśmiechem słodkawo-drwiącym cieszył się z niespodziewanie dla się milego spotkania.

Doszło wreszcie do tego, że poczęłem przed nim uczuwać pewien rodzaj zabobonnego strachu i uważać go za swego złego ducha czy demona. Jego ruchy kocie, drażniące, filuterne przymykanie oczu, zwłaszcza zaś ów skalisty, zimno połyskujący białkami zez ścinały mi krew niepojętą grozą, budząc równocześnie wściekłość bez granic.

A wiedział wybornie, jak najłatwiej przyprowadzić mnie do pasji. Umiał zawsze dotknąć mej najczulszej struny. Raz podpatrzywszy me upodobania, wybadawszy poglądy i zasady, przy każdej sposobności wygłaszał z brutalną ironią wprost im przeciwne w sposób tak bezwzględnie arbitralny, że zdawał się wykluczać wszelką opozycję.

Jednym takim punktem spornym, zasadniczo nas różniącym, była kwestia indywidualizmu, której zawsze broniłem z namiętnym zapamiętaniem. W ogóle mam wrażenie, że dookoła tej właśnie osi obracał się cały nasz antagonizm.

Byłem zagorzałym wielbicieleм wszystkiego, co osobiste, oryginalne, jedyne, w sobie zamknięte — Brzechwa, przeciwnie, szydził z wszelkiego indywidualizmu, uważając go za chimereę zarozumiałych półgłówków; stąd nie wierzył w żadną inwencję, pomysłowość, sprowadzając je do wykładników wpływów środowiska, rasy, tzw. ducha czasu itp.

— Przypuszczam nawet — cedził niejednokrotnie, zezując w mą stronę — że w każdym z nas siedzi kilka indywiduów i drze się o marny ochłap tzw. duszy.

Było to oczywiście już wyraźne przekomarzanie się ze mną i chęć wywołania namiętnej reakcji za wszelką cenę. Spostrzegłszy to, udawałem, że nie słyszę, i obojętnie pomijałem milczeniem. Wtedy czyhał na inną sposobność, by zaznaczyć swe „społeczne”, jak się wyrażał, stanowisko.

Ilekoć okazywałem podziw i zachwyt z powodu jakiegoś nowego dzieła sztuki lub naukowego odkrycia, Brzechwa z cynicznym spokojem usiłował wykazać bezpodstawność uwielbienia lub też milcząc siadał wprost naprzeciw i przez cały czas przeszywał mnie mrożącym do szpiku zezem, gdy uśmiech zjadliwej ironii nie schodził z nie domkniętych warg.

Już to w ogóle nie odczuwał żadnych wstrząsów estetycznych; piękno nie działało nań w całym tego słowa znaczeniu. Był za to typowym snobem sportu. Nie było rekordu automobilowego, zawodów cyklistycznych lub *matchu footballowego*, do których by nie stawał w pierwszym szeregu. Bił się na szpady jak fehmistrz, strzelał bajecznie, uchodził za pływaka pierwszej wody. Naukę i uczonych ignorował, trzymając się zasady *nihil novi sub sole*<sup>30</sup>. Mimo to nie można mu było odmówić wcale<sup>31</sup> wysokiej inteligencji, która szczególnie przejawiała się w dowcipnych, zaprawionych zjadliwością powiedzeniach. Natury gwałtownej, nie znoszącej opozycji, miewał wieczne awantury i niezliczone mnóstwo honorowych spraw, z których zawsze wychodził obronną ręką.

Rzecz jednak dziwna — na mnie nigdy się nie „obrażał”!, pozwalając mówić sobie słowa nie już niegrzeczne, lecz wprost obelżywe, do czego niejednokrotnie zmuszało mnie jego zachowanie się. Ja jeden miałem przywilej bezkarnego znieważania go. Widocznie

<sup>28</sup>przypić się — przyczepić się. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>fizjonomia (daw.) — twarz. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>*nihil novi sub sole* (łac.) — nic nowego pod słońcem. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>wcale (daw.) — całkiem. [przypis edytorski]

upatrywał w tym należną mi rekompensatę za ciągle drwiny i prześladowanie bez końca mojej osoby. Zresztą może był powód inny, głębszy — nie wiem.

Czasami umyślnie przesadzałem w obelgach, by zmusić go do rozprawienia się ze mną na serio, a w następstwie do zerwania zupełnego stosunków. Nadaremnie. Przeczując, o co idzie, zbywał moralne policzki słodziuchnym uśmiechem i obracał wszystko w żart...

W końcu pozbyłem się go. Zaszedł wypadek, który zdawał się mnie raz na zawsze uwalniać z jego szponów. Zginął nagle, śmiercią gwałtowną, i to pośrednio przeze mnie.

Raz przywiedziony do ostateczności uderzyłem go w twarz. Brzechwa w pierwszej chwili zachnął się; zbladł jak ściana, i wtedy raz jedyny w życiu ujrzałem szczególny, stallowy błysk w jego oczach. Lecz był to tylko moment, bo zaraz maskując wzburzenie położył mi drżącą jeszcze rękę na ramieniu i rzekł z dziwną wibracją w głosie:

— Niepotrzebnie się pan uniósł. To na nic się nie zda. W ogóle ani ja pana, ani pan mnie nie może obrazić. Widzi drogi pan, to całkiem tak, jak gdyby ktoś chciał spoliczkować samego siebie. My obaj stanowimy jeden układ.

— Podlec! — mruknąłem przez zęby.

— Jak pan uważa. To sprawy w niczym nie zmienią.

I począł okropnie zezować.

Awantura miała jednak poważne, tragiczne dlań następstwa. Ponieważ wszystko zaszło w obecności kilku świadków, nikt odtąd ze znajomych nie chciał mu podać dłoni. Brzechwa wściekał się, urządzał skandaliczne „kawały”, a wreszcie zmusił jednego z najtęższych przeciwników do rozprawy na rewolwery. Mimo że ja właśnie wywołałem zajście, prosił mnie Brzechwa na świadka. Odmówiłem, ofiarując z własnej inicjatywy swe usługi stronie przeciwnej, chociaż partner Brzechwy był mi skądinąd antypatyczny. Lecz zrobiłem to z umysłu<sup>32</sup>, zadowolony, że choć pośrednio zetnę się z moim prześladowcą. Propozycję moją przyjęto i pojedynek przy bardzo ostrych warunkach odbył się w podmiejskim lasku. Padł Brzechwa, ugodzony śmiertelnie w czoło.

Pojedynek

Pamiętam jego ostatnie spojrzenie; było zwrócone na mnie: skośne, przeszywające na wylot, paraliżujące wolę. Zaraz potem wyzionął ducha. Odszedłem, nie śmiąc patrzeć dłużej w tę demonicznie wykrzywioną twarz. Lecz maska ta nigdy już nie usunie się z mej pamięci, wytrawiona tam, w głębi, niezatartymi rysami, i wiecznie przeorywać będzie mą duszę kosym<sup>33</sup> rzutem ten okropny zez. — —

Śmierć Brzechwy, zwłaszcza scena agonii, wstrząsnęła mną tak silnie, że wkrótce potem zapadłem ciężko na zapalenie mózgu. Choroba przeciągnęła się na miesiące, a gdy dzięki niestrudzonej pomocy lekarzy, wśród ustawicznej obawy przed recydywą<sup>34</sup>, wreszcie wyzdrowiałem, zmieniłem się nie do poznania. Charakter mój wypaczył się najzupełniej i wszedł na obce sobie dotąd, nawet wrogie tory. Dawniejsze upodobania, szlachetna namiętność ku wszystkiemu, co piękne i głębokie, subtelna zdolność wyczuwania drgnień oryginalności znikły bezpowrotnie. Pozostała tylko — szczegół zagadkowy — pamięć, że je niegdyś posiadałem, i cierpienie z powodu zaszłej zmiany.

Stałem się człowiekiem praktycznym, „zdrowym”, normalnym do obrzydliwości, wrogiem ekscentryków dowolnego rodzaju i — rzecz dla mnie najboleśniejsza — począłem szydzić z mych dawnych ideałów. Już to ironia, uśmiech złośliwy, uszczypliwość przeglądają odtąd w każdym moim ruchu, słowie, wiły się fałszywą linią przez wszystkie me czyny.

Najciekawszym jednak było, że mimo to zdawałem sobie najzupełniej sprawę z tych niespodzianych przekształceń, którym bezskutecznie usiłowałem przeciwstawić dobrą wolę. Stąd wszczęła się we mnie zajadła walka dwóch zasadniczych motywów, dwóch naczelnych nastrojów, o których współlistności byłem najgłębiej przekonany. Lecz zawsze brał górę ten nowy, przybylczy, co się wczułgał we mnie nie wiadomo jakim sposobem, i z wewnętrznym wstrętem słuchałem zawsze jego podszeptów.

Były to jakby teoria i praktyka. W teorii pozostałem tym samym, co dawniej, i z oburzeniem śledziłem postępkę tamtego drugiego, który jak złodziej wkradł się w najgłębsze me tajnie i wyrzucał nagromadzony w nich dobytek, zastępując go mierzwą<sup>35</sup>.

<sup>32</sup>z umysłu — dziś: umyślnie. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>kosy (daw.) — krzywy, także: zezowaty. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>recydywa — tu: nawrót choroby. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>mierzwą — słoma zgnieciona na podściółkę dla bydła, przen.; coś bez wartości. [przypis edytorski]

I nie mógłbym tego nazwać znanym powszechnie rozdwojeniem osobowości, gdyż zachodziła tu sprawa całkiem inna, którą trudno było przewidzieć, wydedukować na podstawie pierwszej połowy mego życia. Czułem, że tu nie można mówić o jakimś rozdwanianiu się — tu raczej zaszło zdwojenie, jakaś przekłeta przymieszka, tu wnącił się jakiś intruz. Nosilem go w sobie, ustawicznie kalecząc się tą ohydną współbytnością, bezsilny, zrozpaczony świadomością zmiany, której usunąć nie mogłem. Każdy mój czyn wzbudzał we mnie wewnętrzną opozycję, przedstawiał mi się jako narzucony z zewnątrz obcą wolą, każde me słowo było kłamstwem nie popartym przez przekonanie, pozbawionym siły uczuciowej, jakąś pasożytną naroślą. Co gorsza, intruz wkraczał w zakres mych myśli, przekonań, starając się przerobić mnie na swój rytm do przyciesi<sup>36</sup>.

Ilekroć chciałem postąpić w sposób zgodny z najgłębszą mą jaźnią i przybrać dawną postawę do świata i ludzi, coś mocnego jak rozkaz zawracało mnie na nową, nieznośną drogę, jakiś chichot wewnętrzny rozsadał mi piersi, a w oddali błyskał skośną rysą piekielny zez...

Znienawidziłem siebie fizycznie i moralnie, nie mogłem znieść własnej osoby, bo wdała się wstrętną, karykaturalną.

By sprowadzić wybryki mego nowego „ja” do możliwego minimum, zamykałem się całymi dniami w domu i stronilem od ludzi, w których oczach widziałem zdumienie i odrazę.

Tutaj, w mym cichym domu, w ustronnej dzielnicy miasta, przeżywałem długie godziny duchowej męczarni, pasując się<sup>37</sup> z ukrytym mym wrogiem. Tutaj, w czterech głuchych ścianach, przemyślałem długie chwile wewnętrznej katuszy.

W miarę borykania się z obcym natrętem doszedłem do pewnej wprawy w wyłączeniu go przynajmniej na jakiś czas poza obręb konstrukcji myślowych. Osamotnienie bezwzględne, swoboda od gwaru ludzi pozwalały mi choć na parę chwil ześrodkować mą właściwą, dawną jaźń i wyzwolić ją spod brutalnej pięści intruza.

Były to wysiłki prawdziwie olbrzymie; miałem wrażenie człowieka, który tytanicznym napięciem mięśni rozdziela dwa nieprzeparcie ku sobie ciężące półkłęgi kuli i tak przez jakiś moment trwa, trzymając je w odosobnieniu.

Wtedy korzystając z chwili rzucałem się do pisania i zapelniałem całe rękopisy myślami, które mżały we mnie od dawna, lecz nie mogły uzewnętrznić się, zduszone gwałtem przez tamtego. Pisałem jak szalony, z zapartym tchem, wodząc ręką po papierze, by wypowiedzieć, co myślę i czuję, by zaznaczyć przed idealną widownią świata, że jestem innym, niż się za godzinę, za minutę wydam.

Lecz wściekły wysiłek nie trwał długo. Wystarczył krzyk życia z ulicy, wejście sługi do pokoju lub twarz przechodnia, a napięte nerwy rwały się jak postronki, wyprężone mięskuly pękały z głuchym trzaskiem i uparte półkule zwierzały się w całość krągłą, jednolitą, zamkniętą, bez wyjścia. Na ustach wykwitał śmiech, ohydny, cyniczny śmiech i łkając z bólu, rwałem w kawały rękopisy, deptałem zapisane kartki, niszczyłem całe arkusze...

I znów wracałem w świat pomiędzy ludzi haniebnie zmienionym szydercą bez czci i wiary, człowiekiem niskich pragnień. I od nowa trzeba było długich wysiłków myśli, odsuwania się od środowiska ludzkiego, bezwzględnej samotności, by choć na chwil parę izolować się od nalotów znienawidzonej istoty i wykluczyć ją poza nawias mej duszy.

Lecz w miarę ponawiania owych doświadczeń dochodziłem do coraz bardziej pocieszających wyników. Coraz dłużej udawało mi się utrzymywać siebie w rozłączeniu z obcym przybyszem, coraz wyraźniej w przeciągu tych krótkich chwil czułem swą odrębność i oczyszczałem się z pasożytniczych napływów.

Potem wracało wprawdzie wszystko do dawnego stanu, lecz pamięć osiągniętych na jakiś czas wyzwolin zachęcała do nowych prób. W końcu byłem dawnym sobą już przez parę godzin, które wyzyskiwałem możliwie najpożyteczniej, spiesząc się, zanim mój wróg powróci.

Ciągła uwaga i pilnowanie się na każdym kroku, konieczne przy tej psychicznej elektrolizie zdwojonego „ja”, zużyły mnie tylko niepomierne, pozostawiając po sobie ślady w formie zdenerwowania i gwałtownych bólów głowy.

<sup>36</sup>przycies — drewniana podstawa, na której wspiera się ściana. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>pasować się (daw.) — walczyć, zmagać się (por. zapasy). [przypis edytorski]

Mimo to zdobywszy słabą nadzieję odzyskania siebie, nie szczędziłem trudu i marzyłem już o tym, by móc bezkarnie we własnej osobie zjawić się w towarzystwie ludzi...

Pewnego razu po dłuższym pobycie na świecie zamknąłem się znów we wiadomym celu i podjąłem żmudne dzieło wyosobniania się.

Ponieważ wskutek wprawy tym razem szło łatwiej i niebawem znalazłem się w swojej własnej atmosferze własnego indywiduum, zacząłem zwracać uwagę na bezpośrednie, fizyczne otoczenie, by przez tę pierwszą próbę przyzwyczaić się do utrzymywania na wodzy swej osobowości i wobec stokroć silniejszej dystrykcji<sup>38</sup> zewnętrznej, jaką stanowili dla mnie ludzie.

Gdy tak z wolna odbiegałem uwagę od siebie i w półroztargnieniu błądziłem oczyma po pokoju, nagle zdało mi się, że za ścianą po lewej stronie słyszę jakiś szmer. Zaciekawiony zacząłem nadśłuchiwać, lecz to skierowało mnie zbyt silnie na zewnątrz, powodując fatalne zlanie się dopiero co wyodrębnionych elementów, i znów przestałem być sobą.

Zrozpaczony kląłem podejrzany szmer, który zresztą mógł być tylko złudzeniem mych rozigranych przez napięcie nerwowe zmysłów. Tak tedy pierwsza próba odzyskania siebie wobec zmienionych warunków spelzła na niczym.

Przecież nie straciłem otuchy i w parę dni potem podjąłem eksperyment.

Dopóki byłem zajęty sobą, nie słyszałem nic podejrzanego za ścianą — gdy tylko jednak zacząłem poświęcać więcej uwagi środowisku, doszedł mnie znów od lewej strony ten sam zagadkowy szmer.

Chociaż wiedziałem doskonale, że przez to utracę siebie, wracając do obmierzłej podwójności — mimo to wychyliłem się natychmiast przez okno i spojrzałem w lewo w nadziei, że wykryję przyczynę szczególnego odgłosu.

Dom, w którym mieszkałem, był parterowy i składał się z trzech partii. Zajmowałem samo skrzydło, tak że poza mną z lewej strony nie było już żadnych pokoi, a ściana wychodziła na mały ogródek otoczony parkanem. W tej chwili nie było w nim nikogo, jak zresztą zwykle; w ogóle na moją stronę nikt nigdy nie zachodził, szanując cudza granice i dyskretnie unikając linii mych okien.

Zaniepokojony cofnąłem głowę do wnętrza.

Przyszło mi na myśl, czy przypadkiem zagadkowe szemranie nie towarzyszyło już dawniej procesowi oczyszczania jaźni; prawdopodobnie jednak, zajęty intensywną pracą wewnętrzną i z rzutowywaniem jej na papier, nie zauważyłem przez czas jakiś tego, co się wkoło mnie działo. Dopiero odsunięcie się na pewien dystans od świeżo skryształizowanej osobowości i zwrot ku otoczeniu pozwoliły na percepcję tajemniczych dźwięków. Niezupełnie przekonany o przyczynowej zależności tego fenomenu od usiłowań duchowej emancypacji, wreszcie musiałem przystać<sup>39</sup> na to, że jakiś związek zachodzi, bo szmer odzywał się tylko wtedy, ilekroć zdołałem zrzucić z siebie nienawistne pęta.

Niejednokrotnie będąc w zwykłym zdwojonym stanie nadśłuchiwałem, czy z tamtej strony głos mnie jaki nie dojdzie — lecz bezskutecznie: ściana nie przepuszczała wtedy najlżejszego drgnienia.

Czasami myślałem, że ulegam złudzeniu akustycznemu i że szmer w istocie rzeczy dochodzi od ściany prawej, poza którą mieszkał zresztą jakiś cichy i wiecznie milczący kawaler. Lecz i ten domysł upadł po sumiennym zestawieniu dźwięków...

Więc szemrało coś tylko za ścianą po lewej, za ścianą, która zamykała dom i sąsiadowała z pustką. To przecież dziwne!

Po pewnym czasie, gdy odgłosy nie ustawały, począłem dokładniej badać ścianę z lewej strony.

Niebawem doszedłem do przekonania, że musi być wewnątrz wydrążona i pod wpływem moich uderzeń dudniła głucho.

Przypuszczenie to wzmocnił szczególnie zaobserwowany w dalszym ciągu na zewnątrz domu. Przypatrzysz się baczniej lewemu skrzydłu, zauważyłem po raz pierwszy, ku niemałemu zdziwieniu, że odległość węgła ujmującego ściany graniczne od ostatniego okna wynosi aż cztery metry; ponieważ ściana mego pokoju wysunięta na lewo i zamykająca rzekomo dom oddaloną była od wspomnianego okna co najwyżej na metr, więc ewen-

<sup>38</sup>dystrykcja — coś, co rozprasza uwagę. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>przystać (daw.) — zgodzić się. [przypis edytorski]

tualna grubość jej musiałaby dochodzić aż do trzech metrów, rozmiarów jak na zwykły mieszkalny dom trochę nienaturalnych. Poza mną tedy był jeszcze jakiś pokój ślepy, zamurowany, bez drzwi i okien, bez wejścia. I stamtąd szedł ów szczególny szmer. To było oczywiste.

Zdumiony odkryciem, przez dłuższy czas niemal nie opuszczałem mieszkania, poświęcając całe godziny samoześrodkowywaniu się. Teraz jednak przychodziło mi to z większą trudnością, bo zbyt prędko odrywałem się od własnej osoby, wychwytyjąc głosy pustki. Zrozumiawszy, że tą drogą nie dopnę celu, całą mocą skupiłem myśl na sobie i dopiero czując silne napięcie odzyskanej osobowości, nadслуchiwałem szmerów, które płynęły ze ślepego pokoju.

Po czasie zauważyłem, że istnieją w nich pewne, wcale<sup>40</sup> wyraźne odcienie, jakby stopniowania. Gdy głębiej zabrnąłem w procesie mych duchowych wyzwolin, ilekroć czułem się bardziej sobą, w wyższej mierze oczyszczonym z obcych nalotów — szmer odzywał się wyraźniej; coś niespokojnego tłukło się wśród zamkniętej przestrzeni, wałęsało po kątach, tułało wzdłuż ściany jakby we wścieklej bezsilności.

Gdy bardziej tkwiłem w stanie nieszczęśliwego zdwojenia, silniej skrępowany współbytnością pierwiastka obcego — głos zza ściany ścichał, zamierał jakby ukojony.

Było w tym coś zagadkowego, coś, co podniecało ciekawość do najwyższego stopnia, a zarazem budziło zimny, ścinający zęby strach.

Miało się uczucie, że podczas gdy ja tutaj pasuję się z nienawistnym wrogiem, usiłując go wyrugować z mej nieszczęsnej jaźni, tam za ścianą rodzi się jakiś byt, coś się stwarza, powstaje... Wreszcie postanowiłem wywalić ścianę i wtargnąć do ślepej przestrzeni.

Lecz należało postępować systematycznie i powoli, by nie spłoszyć dziwnej istoty. Ilekroć bowiem przez dłuższą chwilę przysłuchiwałem się szczególnym jej ruchom, wszystko milkło, a ja — rzecz dla mnie niepojęta — wybuchałem piekielnym śmiechem i wracałem do podwójności.

— To jakaś szczwana bestia — mruzczałem, uspokoiwszy się po tych niespodzianych dla mnie samego wybuchach.

— Lecz znajdziemy i na to środek, znajdziemy, i to niezawodny. Trzeba zaskoczyć cię znienacka.

Wkrótce przystąpiłem do wykonania planu. Zakreśliwszy kredą na ścianie czworokąt o wymiarach odpowiadających mniej więcej mej osobie, odłupałem w granicach zaznaczonych tynk, po czym ostrożnie ściosalem ostrym narzędziem wewnętrzną część muru, tak że została tylko płytka warstwa, która według mych obliczeń musiała ustąpić pod jednorazowym uderzeniem.

Po ukończeniu przygotowań w ciągu dnia postanowiłem jeszcze tegoż wieczora wdrzeć się do pustego pokoju i przychwycić owo coś, niepokojące mnie od wielu tygodni.

Na dworze było dżdżysto, jesienna, zmokła szaruga. Wczesny zmrok snuł po wąskich, podmiejskich uliczkach szare sznury zsiadłej mgły i wsiąkał w łzawe przetaki drzew. Od rzadko porozrzucanych latarń szły żółte, gromniczne smugi i marły w napęczniałej wodą przestrzeni. Jakieś wozy mokre, oślizgłe wlokły się drogą, kłańcąc łańcuchem...

Zapaliłem storę i zapaliłem lampę.

Było mi dziwnie i nieswojo. Opuściłem znużoną głowę na ręce i pogrążyłem się w pracy wyzwolin. Jak zwykle przypominałem sobie swój dawny charakter, swe postąpienia, zamiłowania, wnurzałem się w wychwytywanie swych przeżyć przed chorobą, wmyślałem się w typowe dla siebie sytuacje, na których tle osobowość moja ujawniła się najdobitniej. I tak szedłem dalej i dalej, zapuszczałem się coraz głębiej, docierając do najpierwotniejszych pokładów swej jaźni...

Byłem szczęśliwy, byłem tym dawnym sobą, pełnym wiary i ufności w przyszłość, z piersią tętnącą miłością dobra i piękna, zachwytem dla życia i jego tajnych cudów. Byłem u szczytu wyzwolin, bez odrobiny obcej przymieszki, najczystsza jaźnią...

Nagle — obejrzałem się wkoło, obejmując krótkim rzutem oka pokój. W tejsze chwili od lewej strony przeniknął w moją samotnię hałas: coś rzucało się za ścianą jakby od posadzki po powałę, drapało w rozpacz po murach, tarzało w konwulsjach bóleści bez wyjścia...

<sup>40</sup>wcale (daw.) — całkiem. [przypis edytorski]

Słuchałem z zapartym tchem, ściskając w ręce żelazny drąg.  
Po kilku minutach szmery uspokoiły się i przeszły z kolei w niespokojne, nerwowe kroki. Ktoś najwyraźniej w świetle chodził tam za przepierzeniem z kąta w kąt...  
Podniosłem oskard i z całej siły uderzyłem nim w wyszczerbiony czworobok...  
Posypało się rumowiu, odsłaniając czarne, wąskie wejście.  
Wpadłem do wnętrza i w tymże momencie zaległa grobowa cisza.  
Uderzyła mnie duszna woń zgnilizny zamkniętej przestrzeni.  
Zrazu nie widziałem nic, rażony ślepotą ciemności. Lecz za mną wkradł się do pustki długi pas świetlny mej lampy i liznąwszy klinem podłogę, przypełzał do kąta...  
Spojrzałem tam i zdjęty dreszczem przestrachu bez granic wypuściłem z rąk oskard.  
Tam, w rogu pustego pokoju, wściśnięta między dwie ściany przykucnęła jakaś ludzka postać i wlepiła we mnie kose, zielonkawe spojrzenie. Pociągnięty magnetyczną siłą wzroku, podszedłem... Postać wyprostowała się, urosła... krzyknąłem; był Brzechwa...  
Stał niemy, bez słowa, poruszając lekko wąsem. Nagle pochylił się w moją stronę, oparł się mi na piersi i... wszedł, rozpląnął się we mnie bez śladu...  
Odurzony, jak automat porwałem lampę ze stołu i wpadłem z powrotem przez wyłom. Na próżno. Pokój był pusty. Pod sufitem wahały się pajęczyny, ze ścian ściekały zimne lzy wilgoci...  
Nagle zabrzmiał głos ochryple, świszczący, chropawy...  
— Co to?! Co to?!  
Wtem zorientowałem się: był to mój śmiech.

Śmiech

## *W willi nad morzem*

Krągle, miękko zwiewne obłoczki dymu wysnuwały się z wolna z kształtujących je ust, położyły w karbowanych falisto pierścieniach i roztopiały na lazurowym tle nieba. Cygara były wyborne; delikatnie zwinięte liście żarzyły się wonnie, ulatniając soczystą, szlachetnie ześrodkowaną treść. Paliliśmy powoli, zaciągając się z maestrią, jak znawcy. Znakomite miał hawana Ryszard Norski.

Przymknąłem senne nieco poobiednią porą oczy i z rozkoszą rzuciłem się wstecz w ramiona bujaka. Dobrze mi tu było i wygodnie.

Siedzieliśmy na marmurowym tarasie willi wysoko wzniesionej nad brzegiem morza. Stąd widziałem je jak na dłoni. Lśniący jak lustro, zdobny mozaiką taras, na którym stały nasze stoliki z czarną kawą, był na jednym poziomie z murem okalającym willę.

Morze drzemało. Dziewiczy szmaragd wełn<sup>41</sup> wydawał się ciemniejszy, jako zwarty w masie i nie podrywany wiatrem. Od czasu do czasu leniwy odruch roztoczy wspinał się pluszczącą pieszczotą na brzeżne załomy i splukawszy skały, powracał bezwładnie w łożysko. Czasem skrzydłata flotyła barek, piórolekkich łodzi, wymknęła się z uwięzi portowej i powiewając koszenilową<sup>42</sup> banderą, sunęła chyżo po łagodnej fali. Czasem na horyzoncie przewiniął się smukły jacht spacerowy i szeżał w dali, wlokąc za sobą długi cylinder dymu...

I przystań zdrętwiała w skwarze południa. Ustała praca w dokach, zamilkły gwizdy świstawek, zwinęły skrzydła parowe albatrosy i cicho, opróżnione, stały na kotwicach.

Gdzieś tam zabłąkał się na pokładzie ogorzały od wiatrów majtek i siadłszy na zwoju lin, nucił nieśmiertelną *Palomę*. — Gdzieś tam przesunął się jak cień wśród czarnych kadłubów pilot portowy i uwiązawszy łódkę łańcuchem u brzegu, zniknął w czeluściach hali wchodowej...

Zresztą cisza i spokój. Godzina popołudniowego wczasu<sup>43</sup>...

Cofnąłem rozmarzone słodkim lenistwem oczy z linii morza i zatrzymałem na najbliższym otoczeniu pod tarasem. Przesuwałem się z lubością po jedwabistych piersiach

<sup>41</sup>welny (daw.) — fale. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>koszenilowy — czerwony (od nazwy barwnika). [przypis edytorski]

<sup>43</sup>wczas (daw.) — odpoczynek. [przypis edytorski]



róż, ślizgałem lekko po kwiecistych gałązkach magnolii, pomarańcz, błędziłem w myśli rozkochaną dłonią po smukłej kibici<sup>44</sup> tuj.

— Rozkosznie u ciebie, Ryszardzie. Mieszkasz jak król. Nie chce mi się stąd ruszać. Tu wszystko upaja, czaruje.

Uśmiechnął się zadowolony pod cienkim kruczym wąsem.

— Podoba ci się? To dobrze. Istotnie niezłe mieszkanko na lato.

Mówił powoli, podobnie jak ja znużony upałem pory poobiednej.

Bawiłem<sup>45</sup> u niego w gościnie od tygodnia, odwiedziwszy po wielu latach niewidzenia się. Ryszard Norski był mym dalekim kuzynem i kolegą szkolnym. Po ukończeniu liceum drogi nasze rozeszły się. Odnowiliśmy stosunki jako mężczyźni dojrzały. Ryszard był wtedy już wdowcem. Niegdyś znałem go dość dobrze. Ambitny do szaleństwa, w przystępie zazdrości umiał być straszny. Pamiętam, gdy raz jeden z kolegów opisał wiosną piękniej od niego, wymierzył mu policzek i w wywiązanej stąd bitce ciężko go zranił.

Szczególnie wygórowaną była ambicja Ryszarda na punkcie sławy literackiej. Już na szkolnej ławie marzył o rozgłosie wielkiego pisarza. Czy uroszczenia jego miały jaką racjonalną podstawę, jako niekompetentny powiedzieć nie mogę. Podobno nie był bez talentu. Zresztą nie śledziłem postępów jego na tym polu, oddany mym zawodowym pracom. Tylko od czasu do czasu słyszałem od znajomych, że pisze i wydaje.

Potem ożenił się bogato i podobno szczęśliwie.

Pani Róża Norska należała w swoim czasie do piękności stolicy; o względy jej ubiegała się najświetniejsza młodzież w kraju. Posiadł ją Ryszard. Czy wyszła z miłości, nie wiadomo. Chodziły wersje o serdecznym stosunku, który miał ją łączyć przed małżeństwem z pewnym młodym poetą, podobno nawet przyjacielem Norskiego. Dlaczego oddała rękę innemu, po dziś dzień jest dla mnie zagadką. Może tamten był zbyt dumny, by pojąć za żonę bogatą Różę z Wrockich, może ona postanowiła o jego losie inaczej. Sprawy mi nie znane, już dawno zasnutę przeszłością. Mówią, że była kobietą ekscentryczną i rządziły nią chwile. Została żoną Ryszarda.

Znaczny majątek, który mu wniosła za sobą, pozwalał Norskiemu na życie wystawne, bez troski.

Podróżował dużo, jesienią i zimą spędzał stale na południu. Pani Róża, odumierając go, zostawiła mu w spadku synka Adasia i wielką fortunę.

Odnalazłem go po piętnastu latach mężczyzną w sile wieku, rosłym i tego zbudowanym. Lubiałem go i z przyjemnością zajechałem doń na czas dłuższy. Łączyło mnie z nim zamiłowanie do piękna i wytwornego trybu życia, przynęcało wcale<sup>46</sup> wysokie pojęcie o jego inteligencji i poziomie umysłowym. Poza tym był kolegą lat młodych i dalekim kuzynem. Być może kazało mi zawitać w jego progi jeszcze i coś innego, czego określić nie umiem, jakaś siła przyciągająca nieświadomie z dali, szczególnie przypadek, nie wiem...

Przytknął do soczystych pąsowych warg czarkę z czarną kawą i wychyliwszy do połowy, wyjął ze srebrnego puzdra<sup>47</sup> świeże cygaro.

— Gdzie podział się Adaś? — zapytałem, przypominając sobie chłopca, który przed chwilą jeszcze głośno swywoił dookoła gazonu<sup>48</sup>.

— Pewnie znowu koło altany.

I podniósłszy się z fotelu, zawołał dość ostro na syna.

W tej samej niemal chwili wypadł z bocznej ścieżki i stanął na stopniach tarasu szczupły, dziesięcioletni chłopczyk o jasnych, na ramiona spadających kędziorach. Czarne, smutne oczy dziecka z pewnym lękiem spoczęły na twarzy ojca.

— Gdzie byłeś!? Dlaczego kryjesz się ciągle po kątach?

— Byłem w altanie, tatusiu, czytałem książkę.

— Dlaczego tam wечно zaglądasz? Tyle ci już razy mówiłem, żebyś się bawił tu, na słońcu. Nieposłuszny jesteś, Adasiu.

Błądą, nerwową twarzą chłopca omroczył cień żalu. Cicho pocałował ojca w rękę i odszedł w głąb domu...

<sup>44</sup>kibic (daw.) — talia. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>bawić (daw.) — przebywać. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>wcale (daw.) — całkiem. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>puzdro — rodzaj pudła z szufladkami i przegródkami. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>gazon — ozdobny trawnik z krzewami i kwiatami. [przypis edytorski]

— Właściwie nie rozumiem, dlaczego mu zabraniasz przebywać w altanie? — zapytałem po krótkim milczeniu. — Chłodnik<sup>49</sup> jest bardzo przyjemny, zwłaszcza przy dzisiejszym upale.

— Boję się, czy właśnie tam nie będzie dlań za chłodno. W tym kącie pod murem jest utajona wilgoć. A on, jak ci wiadomo, dość wrażliwy na podobne rzeczy.

Mówił spiesźnie, nie patrząc na mnie, widocznie niezadowolony z mej interwencji. Zauważywszy jego rozdrażnienie dałem pokój i zmieniłem temat. Zaczęliśmy rozprawić o literaturze, o jej najnowszych prądach i wpływach zagranicy. Ryszard ożywił się i ze swadą wtajemniczał mnie w objawy literackie ostatniej doby, nie omieszkując wspomnieć i o sobie. W końcu zaproponował mi, czy bym nie zechciał posłuchać kilku jego utworów. Przystałem z prawdziwą przyjemnością. Za chwilę wyniósł z pokoju wiązkę rękopisów i zaczął czytać.

Były wiersze. Wprawdzie znawcą nie jestem, lecz niegdyś czytałem dużo i odczuwam poezję dość silnie. Utwory Ryszarda zrobiły na mnie szczególne wrażenie. Forma była bez zarzutu. Wzorowe sekstyny toczyły się gładko, rytmicznie. Treść była przeważnie myślowa. Rzecz jednak szczególna: zdało mi się, że podobne wątki już gdzieś raz słyszałem.

Poematy Ryszarda wyglądały jakby ciąg dalszy, konsekwentne rozwinięcie motywów dawniej mi gdzieś znanych. Nie było to to samo, lecz jakby stylowe przedłużenie.

Tak, należałoby się spodziewać, tworzyć będzie ktoś, którego dawniej gdzieś czytałem. Lecz była między tymi dwoma ludźmi zasadnicza różnica: tamten, którego nazwiska nie mogłem sobie na razie przypomnieć, pisał sercem i stąd jego liryka refleksyjna wzruszała; utwory Ryszarda natomiast lśniły jak brylantowa klinga blaskiem zimnym, lodowo-skrzącym; wiało od nich wytwornym chłodem. To był całkiem inny człowiek. — Lecz kto był tamten drugi?

Chęć przypomnienia sobie była tak silną, że mimo woli przestałem słuchać z uwagą Ryszarda i wyteżyłem całą pamięć w poszukiwaniu zgubionego nazwiska. Nagle zabłysło mi na mglistym ekranie przeszłości czerwonymi głóskami: Stanisław Prandota.

Tak! To on!

Wynurzenie się tego nazwiska z mroków zapomnienia wstrząsnęło mną do głębi, nawodząc na myśl jego przedwczesną śmierć.

Prandotę poznałem niegdyś osobiście za pośrednictwem Ryszarda, z którym łączyły go rzekomo stosunki przyjazne. Subtelny, pełen wysokiej kultury umysł młodzieńca zadziwił mnie już wtedy i kazał rokować piękne nadzieje. Umiał przedziwnie pogodzić skłonność do refleksji filozoficznej z głęboką, serdeczną uczuciowością, która przeglądała z oczu przepojonych cichą melancholią.

Po raz ostatni widziałem go przed laty u Ryszarda w dzień mego rozstania z kuzynem. Potem nie spotkaliśmy się już więcej w życiu. Przed miesiącem miał zatonąć podczas burzy na „Jaskółce”, parowcu, którym odbywał podróż ku brzegom Południowej Ameryki. W liście pasażerów, pozostawionej przez kapitana statku w porcie, umieszczono na czele jego nazwisko. Wprawdzie, jak donosiły później dzienniki, parę osób nie zgłosiło się w porę na pokład odjeżdżającej „Jaskółki”, lecz nazwisk nie podano. W każdym razie od tam nikt nigdzie Prandoty nie widział. Bardzo tedy prawdopodobnym, prawie pewnym było przypuszczenie, że zginął na morzu podczas nawałnicy. Tak też zgodnie powtarzały wszystkie pisma.

Zginął młodo, wzbudzając powszechny żal u tych, co umieli ocenić tkwiące w jego początkowych utworach zarodki pierwszorzędного talentu.

Sam nie wiem, jak się stało, że o tym tragicznym zgonie dotąd z Ryszardem nie zamieniłem ani słowa. A przecież od niego powinienem był usłyszeć niejedno o Prandocie, zwłaszcza że wsiadał na statek właśnie w tutejszym porcie za bytności Norskiego.

Korzystając tedy z krótkiej przerwy w czytaniu, zwróciłem się do Ryszarda z pytaniem:

— Kiedy widziałeś się z Prandotą po raz ostatni? Czy nie wkrótce przed katastrofą? Podobno odbijał od tutejszego brzegu?

Norski oderwał gwałtownie oczy od rękopisu i wlepił je we mnie ze szczególnym wyrazem. Pytanie widocznie zaskoczyło go znienacka i w pierwszej chwili nie zrozumiał,

<sup>49</sup>chłodnik (daw.) — altana. [przypis edytorski]

skąd się wzięło. Lecz niebawem znać<sup>50</sup> zorientował się i wtedy na moment pojawiły się na tej marmurowej twarzy jakieś dziwne, zagadkowe błyski. Co miały oznaczać te dzikie linie sfaldowanych nagle mięśni, jakie należało im podłożyć odpowiedniki uczuciowe — trudno mi było określić. Lecz trwało to tylko przez nieuchwytnie małą chwilę; olbrzymim wysiłkiem woli opanował się i wrócił do zwykłej nieprzeniknioności. — Przyblił tylko nieco i smutno odparł:

— Tak. Domysł twój trafny. Istotnie, odwiedził mnie przed odjazdem. Nawet...

Przerwał, jakby namyślając się, czy należy dokończyć w zaczętych sensie. — Lecz wkrótce wahanie ustąpiło i niemal wyzywająco odpowiedział:

— Nawet, nie uwierzysz... wpadł tutaj na godzinę przed wstąpieniem na statek. Zjedliśmy obaj lekki obiad, po czym odprowadziłem go do portu. Biedny chłopak! Tak mu było do twarzy w małym szafirowym kepi<sup>51</sup>, które włożył fantazyjnie do podróży.

Ostatnie słowa brzmiały trochę dziwnie. Chyba piękne kepi nie stanowiło naczelnej ozdoby Prandoty. Toteż nie mogłem wstrzymać się od podkreślenia tego, o co chodziło.

— Strata niepowetowana. Jestem najgłębiej przekonany, że w tym jasnoookim, dobrym dziecku pewnego dnia objawiły się pierwszorzędny liryk. Co za serdeczność, co za przepastność uczucia!

W oczach Ryszarda tlały jakieś żółte światła.

Gdy spostrzegł, że mu się przypatruję, przymknął lekko powieki i wypuszczając gęsty kłęb dymu, wycedził spokojnie:

— Być może. Zdaje mi się jednak, że przesadzasz. Chociaż był moim druhem od serca, nigdy zbyt wysoko nie stawiałem jego talentu. Był trochę za sentymentalny. Czy nie miałbyś ochoty przejść się trochę przed zachodem po plażę? Pora przecudna. Do kolacji mamy jeszcze sporo czasu.

Dokończył cygara i strząsnąwszy resztki popiołu, rzucił niedogarek<sup>52</sup> do perłowego wnętrza muszli.

Przykro dotknięty, udałem przecieź, że wszystko w porządku, i z wyszukaną ochotą podniosłem się z nim do wyjścia.

Gdy wróciliśmy pod wieczór do domu, był w najlepszym humorze i podczas wyczerzy nieustannie żartował z Adasia. A jednak zauważyłem, że od czasu do czasu cień przelotny przesunął się po jego pięknej, męskiej twarzy i parę razy pochwyciłem wzrok, spoczywający na mnie ze szczególną uwagą.

---

Od owego popołudnia minęło parę tygodni.

Na pozór nic się nie zmieniło w moim stosunku do Ryszarda, z którym jak dawniej prowadziłem długie rozmowy, odbywałem wspólne przechadzki i przejażdżki po morzu. A jednak czuliśmy obaj, że coś zaszło, że jakiś cień padł klinem pomiędzy nas i rozdziela coraz silniej. Czując to, właściwie należało mi pożegnać go i opuścić willę. Jeżeli tego nie uczyniłem, to chyba dzięki specjalnemu zwarciu się z tym człowiekiem, który od dłuższego czasu był dla mnie zagadką trudną do rozwiązania.

I jemu widocznie ciążyła moja obecność we willi, lubo<sup>53</sup> usilnie starał się zamaskować wszelki ślad niechęci. A jednak widziałem to dobrze z wyrazu twarzy, rzutów oczu, z rozmów prowadzonych w sposób wymuszony i ostrożny. — W ogóle Norcki sposepniał i zmienił się w tych ostatnich czasach bardzo. Często się zamyślał nad czymś głęboko, na pytania odpowiadał niechętnie, unikał stale pewnych tematów; i tak od pamiętnego dnia nie mówiliśmy ani razu o śp. Prandocie. Podobnie nie poruszyliśmy odtąd zgoła kwestii literackich; gdy przypadkiem zwracałem konwersację na zmierzające ku temu tory, zrećtnie przechodził do rzeczy luźnie tylko z literaturą związanych, po czym oddalał się skwapliwie<sup>54</sup> coraz to bardziej od drażliwego punktu.

---

<sup>50</sup>znać (daw.) — widocznie. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>kepi — rodzaj sztywnej czapki o prostokątnym daszku. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>niedogarek — niedopalek. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>lubo (daw.) — chociaż. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>skwapliwie (daw.) — szybko i/lub chętnie. [przypis edytorski]

Zresztą banalność naszych dialogów wetowała<sup>55</sup> mi wspinała biblioteka gospodarza, która w każdej porze stała przede mną otworem. Toteż całymi godzinami, zwłaszcza rano, zatapiałem się w lekturę.

Jednak rzecz dziwna: wśród poetów doby ostatniej, reprezentowanych tutaj wcale pokaźnie, nie mogłem znaleźć ani jednego tomiku Prandoty. Mimo to, nie chcąc rozdrażniać Ryszarda, nie zwróciłem na to uwagi.

Wśród tego poczęłem ulegać jakimś specjalnym zmianom, z których zrazu sam sobie sprawy nie zdawałem, gdyś przejawiały się w sposób raczej zewnętrzny. Ryszard, przeciwnie, zauważył, że coś się ze mną dzieje, i to, rzecz szczególna, z pewnym niezadowoleniem, a nawet obawą.

Widocznie coś go we mnie uderzyło. Parę razy bacznie śledził mą gestykulację dość ożywioną podczas roztrząsania zajmującego tematu i wtedy ujrzałem na jego twarzy wyraz zdumienia, połączony z odcieniem niepokoju. Na razie jednak nie zrobił mi pod tym względem żadnej uwagi. Powodowany ciekawością, postanowiłem go koniecznie o to zagadnąć.

Niebawem nadarzyła się dogodna sposobność.

Było rano, po śniadaniu. Obaj w lekkich domowych strojach siedzieliśmy na werandzie. Ryszard czytał jakąś książkę, gdy ja spoglądałem na morze, trochę w tej chwili niespokojne. Naraz<sup>56</sup> zwróciły mą uwagę szybujące tam i na powrót mewy. Oto niespodzianie wyodrębniła się jedna gromada i ukształtowała w szerokie białe koło, przez które pozostałe poczęły przefruwać długim łańcuchem. Widok był tak niezwykle, że przerywając Norskiemu czytanie, wskazałem ręką niebo.

Ten wprawdzie spojrział w tę stronę, lecz mimo woli rzucił równocześnie okiem na mnie i dziwnie zmienionym głosem zapytał:

— Co ty robisz?

Na razie nie zrozumiałem go. Istotnie nie robiłem nic nadzwyczajnego. Podniosłem się tylko lekko na palcach i wyciągnąłem ręką w dal.

— Jak to co? Wskazuję na mewy.

— No tak, tak, zapewne. Ale czynisz to w taki sposób, że miałbym ochotę powiedzieć, iż gest ten jest ci obcy.

— Czy zauważyłeś coś podobnego u mnie dopiero dziś po raz pierwszy?

Norski zwłóczył z odpowiedzią. Wreszcie rzekł niby obojętnie:

— Przyznam ci się, że rzeczywiście już od dłuższego czasu dostrzegam dziwną zmianę w twych ruchach. Mam wrażenie, że gesty, które wykonujesz, to nie te dawne, twoje, do jakich przywykłem, lecz jakieś obce, skądś przejęte; jak gdyby ktoś drugi kierował nimi, usadowiwszy się w twym wnętrzu. Wyglądasz na aktora, który genialnie wżył się w cudzą mimikę.

— Rzec szczególna.

I mimowolnie obróciłem się ku lustru i przypatrywałem się sobie uważnie.

— Jeśli się jednak istotnie nie mylisz, bądź pewny, że robię to bezwiednie, odruchowo.

— A jednak jakaś przyczyna być musi...

Norski badawczo patrzył mi w oczy.

— Nie ulega wątpliwości. Prawdę mówiąc, zjawisko zaobserwowane przez ciebie na mojej osobie, które nazwałbym „ksenomimią<sup>57</sup>”, nie jest mi obcym. Śledziłem je u paru osób na klinice w obserwatorium psychologicznym. Można tu w ogóle postawić dwie hipotezy. Ksenomimia może wypływać z prostego zapatrzenia się na drugiego, jako na wzór, i w tej formie występuje bardzo często u dzieci, gdy zmysł naśladownictwa jest tak silnie rozwinięty, że ruchy nabyte tą drogą utrwalają się w późniejszym życiu. Oczywiście w naszym wypadku nie ma o tym mowy. Zmienione ruchy moje, o ileś mógł zauważyć, nie naśladują ni ciebie, ni Adasia, a zresztą z nikim tutaj od czasu, jak przybyłem, nie pozostają w koniecznej do tego bliskiej styczności.

— Tak, to jasne. Rzeczywiście to nie są ruchy ani moje, ani małego. Przez ciebie przemawia ktoś inny.

<sup>55</sup>wetować (daw.) — rekompensować. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>naraz (daw.) — nagle. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>ksenonimia (gr.) — nieświadome naśladowanie gestów i uchowań osoby, o której intensywnie się myśli. [przypis edytorski]

— Pozostaje więc druga ewentualność.

— Mianowicie?

Ryszard okazywał wysokie zaciekanie.

— Najprawdopodobniej wchodzi tu w grę podświadome działanie telepatii.

— Jak to rozumiesz? Czyżbyś przypuszczał, że ktoś wpływa na ciebie w ten sposób, że każe ci wykonywać ruchy należące do osoby trzeciej lub nawet do samego nadawcy? A może są to gesty przezeń tylko pomyslane, czysto imaginacyjne?

— Niezupełnie, lubo jesteś bliskim mej hipotezy. Zasadnicza różnica między nami polega na tym, że ty puszczasz działanie wprost świadome, przedsięwzięte w pewnym celu, gdy ja, przeciwnie, sądzę, iż mamy tu do czynienia z wpływem najzupełniej nieświadomym. Co więcej, jestem głęboko przekonany, że mój nadawca zaprzestałby chętnie swych bezwiednych eksperymentów, gdyby wiedział, jakie mogą pociągnąć za sobą następstwa.

— Wybacz, lecz nie rozumiem. Jak to? Przecież sądzę, że przy telepatii koniecznym jest świadome sobie i określone pod względem kierunku wyrażenie woli czy myśli. — Nadający musi wiedzieć, na kogo działa.

— Niekoniecznie.

— W takim razie może przejąć depezę ktokolwiek.

— Stanowczo nie. Nie ulega bowiem wątpliwości, że między obu stronami wytwarza się uprzednio stosunek bliższy uwarunkowany obcowaniem, uczuciami, wspólnością myśli, przeżyć. Stąd to nic dziwnego, że niejednokrotnie, bo już przedtem, utorował sobie drogę podatną do przeprowadzenia operacji.

— Jak więc wyobrażasz sobie działanie telepatii w naszym wzglądzie w twoim wypadku?

— Bardzo prosto. Oto pewne indywiduum myśli o kimś od dłuższego czasu w sposób niezmiernie intensywny; ów ktoś wypełnia niemal zupełnie jego widnokąg myślowy, wżerając się niepodzielnie w jego duchową dziedzinę. Rozważa się głęboko jego mowę, ruchy, fizjognomię<sup>58</sup>, słowem, całą istotę, pozwala się opętać całą jaźnią. — Przypuśćmy teraz, że ową osobę, która tak wszechwładnie opanowała danego osobnika, zna jeszcze ktoś drugi — ktoś pozostający z opętanym w bliskich stosunkach — a staniemy tuż przed progiem tajemniczej dziedziny telepatii. Opętanie myślowe zaczyna się z wolna, bez świadomego przyczynienia się nadawcy, przenosić na drugiego osobnika i uzewnętrznić, np. w naśladowaniu gestów zamyślonego indywiduum.

Przestałem na chwilę, trochę znużony wysiłkiem porządkowania mych wywodów, i spojrzałem na Norskiego.

Widocznie słowa moje podziały nań silnie, bo oparł zachmurzone nagle czoło na dłoni i utkwiał zamyślony wzrok w ziemię. Po chwili wahania zapytał niepewnie:

— Lecz owo przejęcie się obcą jaźnią musi mieć w takim razie silne zabarwienie uczuciowe? Inaczej nie da się wytłumaczyć ta jego intensywność.

— Zapewne. Telepatia działa najsprawniej tam, gdzie wchodzi w grę uczucie.

— Czy masz na myśli miłość?

— Niekoniecznie. Sądzę, że potężne wywierać musi skutki też uczucie strachu lub grozy związane z zamyśloną jaźnią. Tak np., przypuszczam, mogą działać telepatycznie niektórzy zbrodniarze. Myśli ich, krążące ustawicznie koło nieszczęsnej ofiary, działają prawdopodobnie jak mocne, jadowite wyziewy i przepajają sobą otoczenie, kłębiąc się w dzikich jak węzowisko skrętach. — Okropne są myśli zbrodniarzy! W ten sposób zdarzyć się może, że morderca, wpływając telepatycznie na innych, pewnego dnia ujrzy w ich ruchach ofiarę rąk własnych.

Ryszard trupio błady wpatrywał się we mnie błędnym wzrokiem.

— To byłaby straszna zemsta, piekielna zemsta!...

— Tak, tak... Dobrześ to określił. To by była zemsta umarłych... bez ich osobistego wdawania się. Istotnie, mocne być muszą myśli opętanych i działają potężnie. I tu w całej grozie odsłaniają się otchłanie natury, świadczące w znakach niesamowitych, jak okropną jest dusza człowieka.

<sup>58</sup>fizjognomia (daw.) — twarz. [przypis edytorski]

Gdy domawiałem tych słów, Norski szybko podszedł ku oknu werandy i silnie pchnął je na ogród. Z zewnątrz wpadł słony wyziew morza zmieszany z wonią kwiatów i orzeźwił nam czoła.

— Trochę tutaj duszno — zauważył. — Może zejdziemy między klomby.

— Owszem.

Zeszliśmy.

Ranek był parny, pochmurny. Szary blask rozlewał się po świetle i nadawał wszystkiemu nijaki wyraz obojętności.

Było nam ciężko. Kroki nasze dźwigały się powoli, ospale, zapuszczając się w kręte aleje eukaliptusów, okrążając dziwnie powyginane desenie grządek z kwiatami.

Parę razy przejechał obok nas Adaś z swymi ulubionymi taczkami, w których woził dla zabawy ziemię i piasek po szerokich ścieżkach ogrodu. Zauważyłem pewną regularność w tych wędrowkach. Rozpoczynał jazdę od pagórka, gdzie za pomocą łopatkę kopał ziemię i ładował na taczki, przejeżdżał popod domek i znikał z ciężarem między krzakami bzu, na przeciwnym krańcu ogrodu, w którym wznosiła się altanka. Widocznie tam wysypywał ziemię, bo wkrótce zjawiał się z próżnymi taczkami i rozpoczynał ekspedycję powtórnie. Zabawa zajmowała go bardzo, bo prawie nas nie zaczepiał, pilnie zajęty pracą. Spostrzegłem jednak, jak od czasu do czasu śledził ruchy ojca, który zakazał mu przebywać w altanie; dopókiśmy go mieli przed sobą na oku, kluczył po ścieżkach, zaledwo jednak obróciliśmy się doń plecyma, zbaczał w zakazanym kierunku i szybko wytrząsnąwszy zawartość taczek, wracał pomiędzy klomby.

Dziwny chłopak — pomyślałem. — Jakiś duch przekory ciągnie go do tego kąta.

Lecz nie zwróciłem na to uwagi zdenerwowanego ojca. Ten tymczasem, zajęty w dalszym ciągu poruszoną dopiero co kwestią, chciał ją doprowadzić do względnie określonego końca.

Trochę chwiejnie, siląc się na spokojną obojętność, zauważył:

— Pozostałoby do rozstrzygnięcia zagadnienie: Kto na ciebie działa?

— Sądzę, że raczej należałoby stwierdzić tożsamość ruchów, jeżeli tylko nie są wytworem fantazji nadającego. Łatwiej będzie mi odgadnąć, kto na mnie działa, gdy odpowiem na pytanie: Czyje gesty naśladuję?... Czy nie mógłbyś mi w tym przyjść z pomocą? Sprawa, o ile zauważyłem, dość ci zajęła. Czy obecne ruchy moje nie przypominają ci kogoś znajomego?

Norski znać nie przeczuwał, że kwestia weźmie taki obrót. Pytanie stropiło<sup>59</sup> go. Toteż dopiero po chwili odpowiedział, nie patrząc na mnie:

— Niestety, ja ci się tu na nic nie przydam. Ta gestykulacja jest mi zupełnie obcą; nie widziałem jej u nikogo.

— W takim razie musisz zrezygnować z upragnionej odpowiedzi na zadane przedtem pytanie. Nie dowiesz się, komu podobało się wybrać mnie za narzędzie swych dalekonośnych doświadczeń.

Mówiłem tonem umyślnie żartobliwym, by go nie zaniepokoić, i wkrótce zeszedłem na temat obojętny. On też uznał za stosowne zmienić rozmowę i zaczął o czym innym.

A jednak jeszcze tegoż dnia dowiedziałem się, do kogo należały ruchy, którymi tak dziwnie przesiąknęły.

Stało się wieczorem, wkrótce po zachodzie słońca. Jak zwykle po kawie zaproponował Ryszard przechadzkę nad morze. Przystałem chętnie i podczas gdy on już gotów do wyjścia czekał na mnie na stopniach terasu, ja zaszedłem jeszcze do pokoju po zarzutkę, bo wieczór zapowiadał się chłodny. Po chwili wróciłem i włożywszy dość fantazyjnie kapelusz na głowę, stanąłem w drzwiach wchodowych<sup>60</sup>, naciągając rękawiczki. Norski na razie mnie nie widział, odwrócony twarzą ku morzu. Tak minęło w milczeniu chwil kilka.

Wtem on, widocznie zniecierpliwiony czekaniem, odwrócił się, podniósł wzrok w stronę, gdzie stałem, i nagle, jak przed widmem, zasłaniając się rękoma, pochylił się tak silnie wstecz, że omal nie stoczył się ze schodów.

— Ryszardzie! Co tobie? To ja!

<sup>59</sup>stropić (daw.) — wprawić w zakłopotanie. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>wchodowy — dziś popr.: wejściowy. [przypis edytorski]



Podbiegiem i w samą porę chwyciłem go pod ramię. Uspokoił się, nie spuszczać ze mnie błędnym piekielnym przerażeniem oczu, jakby nie dowierzał dźwiękowi mego głosu.

— Tak, to ty, prawda. Co za przekłete przywidzenie. Lecz ten ruch, ten twój nie-  
szczęsny ruch i sposób założenia kapelusza tak mi żywo przypomniał...

— Kogo? — podchwyciłem z zapartym tchem.

— Prandotę — wyjąkał, jakby przerażony równocześnie brzmieniem tego nazwiska,  
które od paru tygodni wyszło poza obręb naszych rozmów.

I poszliśmy na plażę.

\*

Nazajutrz miałem wyjechać. Pobyt mój u Norskiego był dlań widocznie z dniem  
każdym wzrastającą katuszą. Toteż gdy mu oświadczyłem swój zamiar, zagrał w jego oczach  
błysk nagłej radości. Odetchnął. I ja opuszczałem willę z ulgą w sercu. Było mi tu już od  
dłuższego czasu za duszno; atmosfera zionęła ukrytym jadem. Każda godzina spędzona  
z Ryszardem działała na mnie jakoś niepokojąco i oddalała coraz bardziej od tego dziwnego  
człowieka.

I on zmienił się bardzo. Pobladł, wyżółkł i zestarzał się o lat kilkanaście. Tych parę  
miesiący spędzonych razem przekształciło tego energicznego, twardego jak stal mężczyznę  
do niepoznania. Jeżeli mimo to nie rozstał się ze mną wcześniej, to zrobił to, sędzę,  
chyba z jakiejś okropnej w swym tragizmie ciekawości rzeczy, które go miały zdruzgotać,  
połączonej z duchem wewnętrznej przekory; jakby chciał stoczyć ze mną rodzaj pojedynku  
bez wyzwania, bez słów. Jego dumny, męski charakter spostrzegłszy, że pod pewnym  
względem mogę być dlań groźnym, postanowił stawić czoło i wytrwać do końca.

A przecież musiał ustąpić i ze źle tajoną radością oczekiwał mego rychłego wyjazdu.  
Bo gra była ponad ludzkie siły, bo wmieszały się pierwiastki niewspółmierne, nieuchwytnie  
w swej naturze i stąd nieobliczalne. Więc przerażony zaczął się cofać.

Żegnał mnie w sposób wytworny, pełen elegancji i dobrego smaku. Już to zawsze był  
estetą i gentlemanem.

Pożegnalny obiad był wspaniały. Stół formalnie uginał się od ciast, pulardów<sup>61</sup>, sor-  
betów, mięsiv. Zastawa stylowa zdradzała wyszukany smak i głęboką kulturę piękna.  
Miałem wrażenie, że cała dzisiejsza sztuka stosowana znalazła przy tym kwiatami ubra-  
nym stole swój pełny, oszołomiający bogactwem i oryginalnością wyraz.

Dla mnie *clou*<sup>62</sup> uczytu stanowił pewien rodzaj minogów, za którym przepadałem.  
Szczególnym trafem dotąd nigdy ich u Norskiego nie jadłem, chociaż i on niegdyś był  
ich zapalonym amatorem. Toteż przed odjazdem chciałem koniecznie uraczyć się tym  
wybornym mięsem, zwłaszcza że nadarzała się po temu sposobność. Właśnie bowiem  
przyszła do portu świeży transport i w mieście literalnie je sobie rozchwytywano. Nic  
nie mówiąc Ryszardowi, kupiłem parę sztuk i poleciłem przyrządzić w kuchni w przekon-  
naniu, że sprawię mu tym miłą niespodziankę. Lecz jakież było me zdumienie, gdy Norcki  
spostregłszy na półmisku moją ulubioną potrawę, zwrócił się do służącego z zapytaniem,  
kto kazał ją podać. Wyjaśniłem sprawę natychmiast, przepraszając za samowolne wdzie-  
ranie się w zakres praw gospodarza.

— O ile sobie przypominam, i ty byłeś zwolennikiem minogów?

— Tak, tak... to prawda. Lecz od pewnego czasu dzięki jakiejś idiosynkrazji<sup>63</sup> nie  
mogę znieść ich widoku. Ale proszę cię bardzo, nie przeszkadzaj sobie. Należało tylko  
zwrócić mi uwagę na to, co lubisz, sam byłbym wydał odpowiednie instrukcje. Co do  
mnie, pozostają przy moich homarach.

I zręcznie chwycił swą białą, kobiecą ręką szczypce okazałego kraba.

Trochę zmieszany zabrałem się do minogów. Były przyprawione świetnie, pełne ko-  
rzennej podniety.

Na chwilę zapanowało milczenie.

<sup>61</sup>pularda — utuczona kura. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>clou (z fr.) — najważniejsze bądź najciekawsze zdarzenie. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>idiosynkrazja — wstręt, niechęć do czegoś. [przypis edytorski]

Niebawem Ryszard skończył, popił perlistą maderą<sup>64</sup> i otarłszy usta, zapalił papierosa. Zajęty zdzieraniem z ryby delikatnego naskórka, czułem na sobie jego mocny wzrok: obserwował mnie. Nie podnosząc oczu, włożyłem świeży kawałek do ust i w tej chwili błędnie, oddałem go z powrotem na talerz.

— Co tobie?! Niedobrze?

Ryszard stał tuż przy mnie i podawał kieliszek z winem.

— Popij!

— Dziękuję. Wiesz, miałem w tej chwili szczególną sensację: zdawało mi się, że ryba jest zatruta.

Norski wbił mi paznokcie w ramię, aż syknąłem z bólu.

— Oszalałeś?! — zapytał cały wzburzony.

— Ależ rozumiem wybornie, że to tylko proste wrażenie i nic więcej; takie sensacje przychodzą czasem ni stąd, ni zowąd. Zresztą minogi były doskonałe, brałem już drugą porcję. Był to moment tylko. Jestem gotów jeść dalej.

— Nie! Ja nie pozwolę. Lecz by cię upewnić, sam spróbuję.

I wzięwszy z półmiska drugą połowę, zaczął jeść. Zawstydzony usiłowałem protestować:

— Ależ ja ci wierzę, Ryszardzie. Nie bądźże dzieckiem.

Lecz Norski spożył rybę do końca, po czym ponownie zapaliwszy drżącą ręką papierosa, przeprosił mnie i odszedł do sypialni.

— Wybacz — rzucił na pożegnanie — jestem trochę zdenerwowany. Przeraziłeś mnie. Adasiu, zostaniesz tymczasem z panem.

Istotnie wyglądał bardzo błady.

Zostałem sam z dzieckiem.

W jadalni było parno. Wyziewy potraw zmieszane z odurzającą wonią kwiatów wytworzyły atmosferę ciężką i nużącą. Wziąłem za rękę Adasia i przeszliśmy do biblioteki.

Chcąc chwil parę pozostać w samotnym skupieniu i uporządkować cisnące się gwałtem myśli, wydobyłem z górnej półki kilka ilustrowanych książek i dałem je do oglądania chłopcu. Jakoż niebawem zajął się nimi najzupełniej. Usiadłem na sofce, naprzeciw drzwi wchodowych, i zamyśliłem się: poddawałem baczemu rozbiorowi ową sensację pod koniec obiadu.

Że była to rzeczywiście tylko sensacja, nie wątpiłem ani chwili. Kawałek ryby, który miałem w ustach, pod względem smaku nie różnił się niczym od poprzednich, które spożyłem przeciw z największym apetytem.

Więc chyba autosugestia. Lecz ani mi wtedy przez myśl nie przeszło wyobrażenie trucizny, nie pozostawało nic innego, jak przyjąć poddanie mi podobnej myśli przez Ryszarda. Tu przypomniał mi się instynktem wyczuty w tym momencie wzrok jego, który spoczywał na mnie. Może wtedy myślał o truciźnie? Kto wie, może między nią a minogami istniał pewien związek? To by tłumaczyło wstręt niespodziewany do ulubionej niegdyś ryby. Może kiedyś w życiu był świadkiem podobnego zdarzenia, które mu głęboko utkwilo w pamięci?...

Zmęczony, podniosłem z zadumy czoło i spotkałem się z czarnymi jak aksamit oczyma dziecka.

Był zupełnie podobny do matki, którą znałem tylko z portretu zawieszzonego w salonie. Szczególnie fascynująco musiały działać jej duże, czarne oczy, pełne niewysłowionej słodyczy i głębi wyrazu. Podobnie w kraju, zanim wyszła za męża, budziła wszędzie podziw i zazdrość, była przedmiotem pragnień wielu i powodem kilku gorących afer. Mówiono nawet, że ową tajemniczą nieznajomą, której wdzięki opiewał tak wytwornie w swych sonetach Stanisław Prandota, nie był nikt inny, tylko Róża z Wrockich, Adaś miał te same namiętne palące oczy i białą jak alabaster cerę twarzy, tak bardzo podnoszącą ich wyraz.

Był to chłopak nad wiek rozwinięty, wrażliwy i nerwowy. Lubiał zadawać czasem pytania dziwaczne, rozmawiać o rzeczach przykrych, dziwnie nie harmonizujących z pogodą lat dziecięcych. I teraz miał w twarzy taki wyraz, jakby mi się chciał zwierzyć z czymś ważnym. Ośmieliłem go, przyciągając łagodnie ku sobie.

<sup>64</sup>madera — rodzaj mocnego wina z Portugalii. [przypis edytorski]

Siadł mi na kolana i z miną tajemniczą wydobyl z bocznej kieszonki jakiś drobny, świecący przedmiot. Chcąc mnie snadź<sup>65</sup> zaciekawić, trzymał go w zamkniętej dłoni i parzył na mnie w zagadkowy sposób.

— No pokaż! Cóż to takiego?

Chłopak ociągał się:

— Pokażę, jeśli pan da słowo, że nie powie nic tatusiowi.

Zapewniłem uroczyście. Wtedy otworzył rękę i na dłoni ujrzałem mały, złoty medalion. Odchyliłem emaliowane wieczko i ujrzałem subtelnie wykonaną miniaturę pani Róży.

— To od mamy?

Chłopak poruszył przecząco głową.

— Więc od kogo?

— Proszę zgadnąć.

— Nie potrafię.

— Od pana Stacha.

Pocisnął sprężynkę; miniatura odchyliła się i pod nią przeczytałem wyryte na złotym tle słowa: „Synkowi Róży — Stach”.

Opanowało mnie dziwne uczucie. Tajemnica Adasia wstrząsnęła mną do głębi, wywołując błyski niespodzianych myśli.

Prandota kochał żonę Norskiego. Może Adaś...

Wstrzymałem bieg myśli szalonej i zwróciłem się do chłopca:

— Kiedy dał ci to pan Stach?

— Dzień przed odjazdem. Pocałował mnie w czoło i kazał nosić na piersiach. Był wtedy tak smutny, tak bardzo smutny. Jutro miał wyjechać. Nawet nie mogłem się z nim pożegnać.

— Dlaczego?

— Nazajutrz rano, zanim do nas przyszedł na pożegnanie, zabrał mnie z sobą pan guwerner i pojechaliśmy na cały dzień na wieś. Gdyśmy wieczorem wrócili, pana Stacha już w domu nie było... Biedny pan Stach...

— Dlaczego? Przecież go kiedyś zobaczysz.

Udawałem, że nic nie wiem o zgonie Prandoty, wiedząc na pewno, że ani ojciec, ani żaden z domowników nic o tym chłopcu nie wspominał.

Lecz dziecko potrząsnęło smutno głową:

— Pan Stach już więcej nie wróci.

— Kto ci to powiedział?

— I mamusia już nie wróci.

To szczególne zestawienie upewniło mnie, że Adaś dziwnym, niektórym nerwowym dzieciom właściwym instynktem odgadł śmierć ukochanego człowieka. — Więc zamilkłem. Lecz on miał mi widocznie jeszcze coś ważniejszego do zwierzenia, bo ująwszy moją rękę, pociągnął mnie w ogród.

— Coś panu jeszcze pokażę.

Prowadził w odległy kąt, dokąd zaglądałem rzadko, ze względu na Ryszarda, który unikał tej partii. Właśnie w tę stronę wiódł mnie, niecierpliwie szarpiąc za rękę. Przeszedłszy szpaler tuj, stanęliśmy przed altaną.

Myślałem, że tajemniczy chłopak każe mi wejść do środka, lecz omyliłem się. Nie wypuszczając ani na chwilę mej ręki z dłoni, pociągnął mnie za altanę.

To, co ujrzałem wtedy, wyrzyło się w mej duszy na zawsze ponurym obrazem.

W wąskim przesmyku, między tylną ścianą altany a murem ogrodowym, ujrzałem świeżo usypany nieudolną dłonią grób z małym, z gałązek złożonym krzyżykiem w środku.

Patrzyłem oszołomiony przykrym widokiem na Adasia z niemym pytaniem.

— Czy dobrze usypałem?

— Więc to ty? Kiedy? Po co?

— Wczoraj i przedwczoraj, kiedy tatuś wychodził z domu, zrobiłem; ziemię miałem zwiezioną już dawniej taczkami. To dla pana Stacha. Mamusia ma już na cmentarzu.

Dreszcz zgrozy przebiegł mnie od stóp do głowy.

Grób, Sen

<sup>65</sup>snadz (daw.) — widocznie. [przypis edytorski]

— Dlaczego właśnie tutaj?

— Tatusz kazał.

— Tatusz?!

— Tak, w nocy, we śnie, wiele dni temu. Śniło mi się, że przyszedł do mego łóżka, wziął za rękę i zaprowadził tutaj. Potem usiadł w altanie na ławce, dał mi moją łopatkę i kazał sypać z tej strony grób dla pana Stacha. Płakałem, wrywałem się, lecz tatusz krzyczał i musiałem usłuchać. Przez cały czas siedział tu na ławce i patrzył, jak kopię ziemię. Gdy usypałem do końca, przebudziłem się. Było rano, leżałem w łóżku. Odtąd pędziło mnie tutaj i nie dało spokoju, aż zrobiłem tak, jak tatusz kazał we śnie.

— Czy ojciec wie o tym? Czy pokazywałeś mu?

— Nie. Boję się okropnie, by nie spostrzegł.

W tej chwili usłyszeliśmy za sobą lekki szelest. Odwróciłem się mimo woli i krzyknąłem.

Za nami, ciężko oparty o róg chłodnika, stał bladej jak płótno, dziko uśmiechnięty Norški... Widział i słyszał wszystko.

Popatrzyliśmy na siebie dziwnie, w milczeniu. Potem on zawrócił chwiejnym krokiem do willi. Długi czas stałem bez słowa na tym samym miejscu, kurczowo ściskając rączkę Adasia. Wreszcie obudził mnie z drętwoty dojmujący krzyk mewy. Otrząsnąłem się i spojrzawszy zdumiony na wpatzonego we mnie chłopca, rzekłem:

— Chodźmy!

I wróciliśmy do mieszkania.

Tego wieczora nie było wspólnej kolacji. Adaś zasnął wcześniej w swym pokoiku. Ryszard usunął się samotnie na prawe skrzydło domu. Zostałem sam w przeznaczonej mi sypialni.

Wstrząśnienia dni ostatnich, zwłaszcza sprzed paru godzin, nie dały mi zasnąć. Zgasiwszy lampę, usiadłem w kącie pokoju i paliłem papierosy.

Przez otwarte okno wpadały do wnętrza zielonawe smugi księżycy, sięgając ku mnie wydłużonymi palcami. Z ogrodu wionęły zapachy kwiatów, wibracje woni subtelne, upajające — czasem podniósł się słony oddech morza.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/grabinski-na-wzgorzu-roz>

Tekst opracowany na podstawie: Stefan Grabiński, Nowele, Wyd. Literackie, Kraków 1980.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Pauliny Choromańskiej. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Patrycja Józwiak, Paulina Choromańska, Paweł Koziol.

ISBN 978-83-288-0247-6

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).